

Pomorski
Magazyn
Artystyczny

2/2026 (18)
Kwartalnik

2/26

Brodowski
Greś
Grzybowski
Lipiński

Lorkowski
Milewska
Tyrmand
M. Żakiewicz

Stoż

literatura | sztuka | krytyka | życie społeczne



Małgorzata
Wiśniewska

ISSN 2956-3739



9 772956 373200

Spis treści

- | | |
|---|--|
| <p>3 Wiersze
Monika Milewska</p> <p>5 Na kosmicznej scenie dziejów
Piotr W. Lorkowski</p> <p>8 Magiczna Karwia
fragment książki
Tomek Lipiński</p> <p>11 Jeszcze będzie przepięknie /
Jeszcze będzie normalnie
Wojciech Fułek</p> <p>13 Eugenia Kobylińska-Masiejewska
pisarka znad Wilii i Motławy
Maciej Żakiewicz</p> <p>21 Czarne szpilki kreski
Z Zofią Litwinowicz-Krutnik rozmawia
Wojciech Boros</p> <p>23 Wiersze
Zofia Litwinowicz-Krutnik</p> | <p>26 Portugalskiej markizy przepustka
do historii
Adam Grzybowski</p> <p>30 Nie ma widać
Wojciech Brydak</p> <p>32 Wchodzić bez pukania
Wojciech Fułek</p> <p>35 U brzegów polskiego jazzu
Wojciech Fułek</p> <p>37 Jazz jest wielką epoką...
Leopold Tyrmand</p> <p>39 Nancy Wilson – coda
Paweł Brodowski</p> <p>41 Leonardo?
Kilka słów o Józefie Chełmowskim
Filip Greś</p> <p>46 Spór o „Vaginalia”
Listy do redakcji</p> <p>48 Literacka Podróż Hestii – nominacje</p> <p>50 Dostępność „Słowa”</p> |
|---|--|



Portret | fot. Małgorzata Wiśniewska

MAŁGORZATA WIŚNIEWSKA, absolwentka Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Gdyni Orłowie (2000), następnie absolwentka ASP w Gdańsku (dyplom z wyróżnieniem 2006, Wydział Rzeźby, w pracowni prof. Stanisława Radwańskiego), jest obecnie profesorem na macierzystym wydziale ASP w Gdańsku. Autorka kilkunastu wystaw indywidualnych, uczestniczka kilkunastu wystaw zbiorowych oraz sympozjów, w tym w Finlandii, na Litwie, Łotwie, Słowacji, we Włoszech, w Chinach i Japonii. Autorka projektu badawczego „Geometria Kamienia”, współorganizatorka siedmiu edycji – jak dotychczas – Międzynarodowego Sympozjum Rzeźby w Granicach „Geometria kamienia – Poszukiwanie formy”.

Na okładce strona 1 **Małgorzata Wiśniewska L4** z cyklu *Layers*, Stal, Aluminium, 480 mm x 496 mm, 2019 | fot. z archiwum artystki

Na okładce strona 4 **Małgorzata Wiśniewska Pillow**, granit, 1400 mm x 1200 mm x 1300 mm, 2023, Strzegom | fot. z archiwum artystki

Redaguje zespół: Wojciech Boros, Jacek Borzych, Wojciech Brydak,
Wojciech Fułek (redaktor naczelny), Katarzyna Korczak (sekretarz redakcji)

Współpracują: Olga Kubińska, Tomasz Miłkowski, Leszek J. Pękalski,
Dorota Sobieniecka, Zofia Watrak, Michał Zabłocki, Małgorzata Żerwe

Projekt graficzny: Paweł Pacholec

Wydawca: Jacek Borzych – Stowarzyszenie na rzecz Edukacji Filmowej,
Wały Piastowskie 24, 80-855 Gdańsk

E-mail: stowedufilm@gmail.com • tel. +48 58 308 43 40

Drukarnia: Bernardinum Sp. z o.o., ul. Biskupa Dominika 11, 83-130 Pelplin

**ERGO
HESTIA**

Mecenas

**WM
3P**

Partnerzy

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego
w Gdańsku

Mecenas ERGO Hestia Sopot

Fundacja Artystyczna Podróż Hestii

Muzeum

Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki
Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie

PODWÓRKOWE HAIKU

Gałąź magnolii
zakwitła na śmietniku
odcięta od pnia

Obok altany
dzieci bawią się ufnie
w wojnę piąty rok

14.04.2026

ARS POETICA

Jeśli płaczę to
bursztynowymi łzami
mój ból tężeje
w żywiczne bryły prześwietlone słońcem
widać w nich zatopione
miasta
ludzkie twarze
paprochy marzeń
i ego wielkie jak plejstocieńska mucha

Poeta płacze jak zranione drzewo
a ból bezwstydnie
oprawia w srebro
poetyckiej mowy

SLAM

Stary poeta szeleści wierszem
ma twarz wymiętą jak kartka papieru
gdy umrze
jego poezja obróci się w popiół

Młody poeta ma oczy błyszczące
jak ekran nowego smartfona
nie wie co to czytać swoje życie z kartki
jego poezja jest wieczna
mieszka w chmurze
blisko Boga
którego w niej
nie ma

Monika
Milewska

ABSTRAKCJA

Ekfrazja obrazu Danuty Joppek

Zobaczyłam
martwego ptaka
przykrytego całunem
białej olejnej farby
rozrzucone na płótnie
kolorowe piórka
kosteczki jak maleńkie flety
które srebrzystym trylem
rozświełają noc

czy zobaczyła go również artystka
gdy wieszała swój obraz na białej ścianie galerii?
czy wcześniej na oślepie dźgała go pędzlem
chcąc zamalować kolorowy błąd?
czy może przyniosła go z ogrodu
w kolebce własnych dłoni
by ukryć go przed światem
w bezpiecznym gąszczu abstrakcji?
może te dwa wielkie kratery pośrodku płótna
wyżłobiły w farbie
jej gorące łzy?

spoglądam na obraz po raz drugi
nie widzę ptaka
tam gdzie był jego dziób
jest szyja
z szyi wyrasta biała buzia kotka
takiego jakiego malują
śmiejące się dzieci

MELDUNEK

Chciałabym
dodawać zakończenia Twoim snom
tym zarwanym zlanym potem
zbudzonym zegara turkotem

chciałabym
przy każdym upadku w przepaść
malować Ci anioła
prostować labirynty w szerokie aleje
do skarbnicy mądrości podawać Ci klucz

chciałabym
odganiać z nieba słońce
by nie taskotało w stopy
nie rozwierało źrenic
nim swoje szczęście schwytasz
nim się odnajdą we śnie
wargi
siebie spragnione

chciałabym
zamieszkać na stałe
za okiennicą Twoich powiek
pod prostym dymem oddechu

Monika Milewska

Na kosmicznej scenie dziejów

Piotr W. Lorkowski

1

Rok 2002 to ważna data w twórczej biografii Moniki Milewskiej, bo przyniósł jej aż dwa debiuty: eseistyczny, złożony ze szkiców zebranych w książce *Ocet i łzy. Terror Wielkiej Rewolucji Francuskiej jako doświadczenie traumatyczne*¹ oraz poetycki. Nic zatem dziwnego, że wydany „pod dobrymi auspicjami Klubu Żak”², w niewielkim nakładzie stu egzemplarzy zbiór *Podróż na koniec świata* pozostaje w bliskim związku tematycznym z dziejowymi refleksjami historiozoficznymi rozwijanymi we wspomnianych esejach. Niedługo potem poetka, wyprowadzając znaczną część debiutanckich tekstów z niszy zdecydowała się je zamieścić w tomie kolejnym, zatytułowanym *Papierowe okręty* (2005)³. W kontekście tej książki uzasadnienie znajduje hipoteza, że jej twórczość podejmuje tematy ważne, chociaż nie zawsze realizuje je w sposób wzniośle wygładzony czy bezpiecznie zmitologizowany. Niemniej od samego początku starała się intuicyjnie wyczuć albo intelektualnie rozpoznać, które ze zjawisk świata tego mają dlań pierwszorzędne znaczenie. Z całą pewnością pomocny w tych rozpoznaniach okazał się fakt, że poetyckie pióro dzierży tu historyk. Historyk, podkreślam, nie historyczka. Monika Milewska nie redukuje bowiem swoich zainteresowań do zagadnień skoncentrowanych wokół modnego wciąż pojęcia herstorii. Tego się nie obawiamy. Natomiast zaprzęga poetycką intuicję do pracy przy zgłębianiu prawidłowości rządzących dziejami – i to na poziomie losów wielkich zbiorowości, z których największą pozostaje rodzaj ludzki, kolektywne „my”. Losy tej zbiorowości podmiot będzie relacjonował już to z perspektywy początku – jak w wierszu *Drzewo*⁴ i z perspektywy końca, a właściwie końców, świata. Końców świata zauważamy tutaj co najmniej dwa. Jeden przebiegający według apokaliptycznego scenariusza, daje się zaobserwować w wierszu *Ciałem zmartwychwstanie*⁵. Drugi, wyobrażony w *Poemacie o słońcu umarłym*⁶, dotyka dramatem kosmicz-

nej katastrofy widzianej okiem uciekiniera osiedlonego na odległym krańcu galaktyki. Wszak nie tylko ziemia jest tutaj sceną, na której rozgrywają się a to dramat wielkiej historii, a to scenki z historii pomniejszych, jednostkowych, osobistych, niekiedy absurdalnych – jak opowiadka o matematyku ilustrująca tezę, że wbrew prawu serii nikt nie ujdzie swemu przeznaczeniu⁷.

Planeta ludzi (odwołajmy się do tytułu opowiadania Antoine’a de Saint-Exupéry’ego) nie jest zdolna unieść człowieczych ambicji, obaw, miłości, ani domysłów na temat tego, co przyniosła już przeszłość i może przynieść przyszłość. – Tak, niech będzie, że hipotetycznie, wyjaśniałbym fascynację tekstowego „ja” sferami niebieskimi i ich niespodziewanymi obrotami, przynoszącymi przełomy, zmiany, towarzyszącymi zgonom monarchów⁸. Przeto zarówno astrologów jak astronomów ma ta poezja w szczerym, podszytym podziwem poważaniu⁹.

W tym miejscu wypada jednakże poczynić założenie, że historia alternatywna zajmuje poetkę jedynie w niewielkim zakresie, która odważnie staje oko w oko z faktami i postaciami znanymi z kronik i podręczników. Wydarzenia zaś zbiegają się w jednym punkcie: to ból z wieloma jego synonimami i skojarzeniami. Ten ból ma rozliczne przyczyny. Prócz groźby unicestwienia – także grozi wyrugowaniem poza narrację poruszające współczesne sumienia, co się zdarzyło zniewolonym Czeczenom¹⁰. Stwierdzenie, że poetka historię widzi, nie sprowadza się tutaj do pospolitej metafory. Przecież najważniejszym zmysłem pozostaje u niej wzrok. Zatem wolno chyba postawić hipotezę, że próbuje zmienić nasze widzenie historii, kładąc akcent nie na pojedynczy akt, a na proces – nie zawsze spektakularny, biorąc za przykład upadek „nieśmiertelnej Romy”. Przekonuje nas: „Imperia nie padają od strzały/ konają długo/ jak suchotnik/ zanim zaczną bieleć kości/ ich przepysznych świątyń term i cyrków” i konkluduje: „Rzym upadł cicho/ jak upada liść zeschnięty”¹¹. Kto zaś poczyta pilniej jej wiersze, ten przy różnych okazjach wróci kilkakrotnie¹² razem z nimi do Rzymu nowożytnego i współczesnego.

¹ Monika Milewska, *Ocet i łzy. Terror Wielkiej Rewolucji Francuskiej jako doświadczenie traumatyczne*, Gdańsk 2001.

² Informacja ze strony redakcyjnej tomu, *Podróż na koniec świata*, Gdańsk 2002.

³ Monika Milewska, *Papierowe okręty*, Warszawa 2005, dalej: PO. Oznaczenia dwóch dalszych tomów: *Płacz komety*, Warszawa 2012; dalej PK; *Królowa karnawału*, Warszawa 2020; dalej jako KK.

⁴ PO, s. 2.

⁵ PO, s. 12.

⁶ PK, s. 23.

⁷ *Prawo serii*, PO, s. 4.

⁸ Zob. *Płacz komety*, PK, s. 9.

⁹ Zob. *Sen astronoma*, PK, s. 27.

¹⁰ Zob. *Lekcja mitologii*, PO, s. 5.

¹¹ *Upadek imperium*, PO, s. 6.

¹² Zob. także, *Columbarium*, PO, s. 8.

Od czasu do czasu poetka oddaje głos aktorom dziejowego spektaklu. Swój monolog wygłosi tutaj bezimienny Wiking¹³. Przemkną się Poncjusz Piłat¹⁴, św. Franciszek z Asyżu¹⁵ i Albert Forster¹⁶. Nadto poetka odważnie zgłębia mało rozpoznany aspekt historii, mianowicie fizjologiczny. Fizjologia jawi się tutaj jako rewers historiozofii. Pisz poetka: „Prawdziwa historia rozgrywa się na poziomie molekuł. / Dziejowe zmagania makrofagów/ z przeważającymi siłami wroga/ toczą się co dzień/ na wszystkich frontach świata/ pod Somosierrą Solferino Sarajewem/ to protrombina trąbi do ataku/ a leukocyty ruszają na bój/ za ojczyznę cesarza sprawiedliwość pokój/ i wolność/ waszą i naszą/ giną”¹⁷. A skoro mowa o historii, nie sposób pominąć też zagadnienia czasu. Oczywiście – pracuje on w konkretnych wydarzeniach, ale także funkcjonuje niejako samodzielnie. Pewne, że pochodzi od samego Stwórcy, w którego gestii pozostaje również zamknięcie czasowości wszelakiego bytu, chociaż Boże Miłosierdzie sprawia, że ekonomia zbawienia wychodzi poza zasadnicze założenia sformułowane przez boską sprawiedliwość. Nim nadejdzie ten moment, boski ład temporalny bezczelnie zakłóca książę ciemności, dokładając do boskiego zegara nową wskazówkę, przynaglającą zmęczoną ludzkość do szkodliwego dla ciała i duszy pośpiechu.

2

Medytacje nad sztukami wizualnymi składają się u Moniki Milewskiej na osobny wątek. Nie ograniczają się one jedynie do urodziwych poetycko ekfraz, zwróconych ku duchowej głębi, jak *Ikona z Patmos*¹⁸. Nadto najnowszy chronologicznie zbiór poetki pokazuje, że bywają one także lustrami, gdzie przegląda się wyobrażenia poetki podejmując nadzwyczaj wrażliwy dialog z niderlandzką martwą naturą¹⁹, aniołem z Kościoła Mariackiego w Gdańsku²⁰ czy z *Żydowską narzeczoną* Rembrandta²¹. Groteskowy zaś autoportret z wiersza *Kolaż*²² wskazuje bezpośrednio na tyleż dowcipne co autoironiczne wpatwienie w obrazy abstrakcjonistów. Lecz że tekstowe „ja” od dziejowości uwolnić się nie może, a pewnie i nie chce, tedy dzieła sztuki składają przed nim świadectwo swego udziału w zdarzeniach sprzed wieków, często destrukcyjnych i śmiertelnie okrutnych. Pisz poetka: „została tylko ofiara/ jedyny dowód na istnienie kata” (*Vae victis*)²³. Prawem paradoksalnej (nie)sprawiedliwości,

ci którym odebrano życie, zachowują przy życiu swoich zabójców. Autorka zła nigdy nie relatywizuje, przeto nie zamierza ani ich zrównywać, ani skłaniać ich do pojednania. Przywykliśmy do starożytnych marmurów, wszakże w wierszu *Via Veneto*²⁴ poetka przypatruje się artefaktom wykonanym z daleko bardziej osobliwego tworzywa – mianowicie z ludzkich kości ułożonych w wanitatywne ornamenty i figury. W ten dosłowny w swojej przewrotności, sposób śmierć została uczłowieczona, chociaż grozy swej nie traci. By grozę tę złagodzić melancholią, trzeba było wyruszyć aż na greckie wyspy. Tam, spoczywającym na jednej z nekropolii „śmierć płynie [...] leniwie/ przeciąga się jak kot/ na marmurowej płycie// czyjaś litościwa ręka/ wciąż dopełnia/ ich lampki oliwne” (*Cmentarz na Kos*)²⁵.

Zauważmy przy tej okazji, że w zbiorze *Płacz komety*, liryczne *alter ego* poetki coraz częściej odnotowuje chwile obecne. Nawet momenty dziejowo doniosłe relacjonuje od ich mniej oczywistej strony. Przykładem tego *Hymn do torebki foliowej*²⁶, którego adresatka, reklamówka „z marketu Groszek”²⁷, była świadkiem pogrzebu papieża-Polaka, wraz z innymi nietrwałymi elementami pielgrzymiego ekwipunku, częścią resztek pozostałych po masowej celebracji; pisze poetka: „Były was miliony/ śmieci/ najwierniejsze z wiernych/ to wy zostaliście na nocne czuwanie/ z deszczem/ który łkał nad Miastem”²⁸. Uwznioślenie trywialnego, pospolitego przedmiotu obsadzonego w roli statysty liturgiczno-funeralnego spektaklu to u Moniki Milewskiej jednak wyjątek. Na ogół preferuje bardziej tradycyjną estetykę. Chyba nie będzie wielką przesadą, jeśli nazwiemy ją neoromantyczną. Zresztą harmonijnie rezonuje z wierszami wpisującymi się w model liryki kobiecej: ustrojonymi w koronki (*Obstalunek*)²⁹, w szykowne nakrycia głowy (*Moje kapelusze*)³⁰. Aczkolwiek cała ta elegancja szczęścia w miłości nie zapewnia. Poranek przejmująco ujawnia bezmiar opuszczenia nie-pokochanej (*Świt*)³¹. Na tym poetka szczęśliwie nie poprzestaje. Naprawdę wielką trafność wyrazu osiągają dwa wiersze niezwykle intymne, wychodzące przy tym poza przyjęty wcześniej model. Przynosi je zbiór *Królowa Karnawału*. Zapamiętajmy ich tytuły, może mało wyszukane, lecz usprawiedliwia je sposób prowadzenia monologu: *Ślady*³² oraz *Słowa*³³, opowiadające o niezwyklej bliskości, zapośredniczonej przez subtelnie działający dotyk i mowę. Poetyckie rzemiosło, umiejętność budzenia wzruszeń, takich wzruszeń, których wstydzić się niepodob-

¹³ *Rekonstrukcja*, PK, s. 11.

¹⁴ *Piłat umywa ręce*, PO, s. 21.

¹⁵ *Ptak świętego Franciszka*, PO, s. 19.

¹⁶ *Gauleiter Forster*, PK s. 17.

¹⁷ *Analiza historyczna*, PK, s. 10.

¹⁸ *Ikona z Patmos*, KK, s. 19.

¹⁹ *Rozkrojony chleb*, KK, s. 17.

²⁰ *Gdański anioł*, KK, s. 18.

²¹ *Żydowska narzeczoną*, KK, s. 20.

²² *Kolaż*, KK, s. 25.

²³ PO, s. 7.

²⁴ PK, s. 48.

²⁵ PK, s. 53.

²⁶ Tamże, s. 15.

²⁷ Tamże.

²⁸ Tamże.

²⁹ PK, s. 34.

³⁰ Tamże s. 24.

³¹ Tamże, s. 31.

³² KK, s. 50.

³³ KK, s. 51.

na, sprawia, że wiersze te przynależą do najcenniejszych w dorobku poetki.

Sporo wytchnienia dają nam teksty kreślone na marginesach pór roku. Autorka posługuje się tu typowymi motywami (majowy poranek, idylliczność sianokosów, jesienny bal leśnych drzew), odświeża je, przydając im nowych barw, czym równoważy powagę swych medytacji historiozoficznych.

3

Królowa karnawału, czwarty tom Moniki Milewskiej przenosi nas z Rzymu do Wenecji. Tym razem królewska władza przypada nie drzewu, lecz tej, którą nad adriatycką laguną spotkał Gustav von Aschenbach. Przystłoniwszy twarz maską czerwonego moru, stanęła pośrodku globalnego człowieczego strachu³⁴, wypełniającego pustkę na opustoszałych uliczkach i placach zajętych teraz przez zwierzęta³⁵. Zapisy pandemiczne dają Monice Milewskiej asumpt do rozważań około metafizycznych, płynnie przechodzących w namysł nad cywilizacją, gdzie plany Stwórcy raz po raz próbuje pokrzyżować Zły³⁶, kiedyś obsadzony w roli głównego bohatera zabawnej folklorystycznej opowieści³⁷, lecz teraz jego zbanalizowany demonizm ugina się pod brzemieniem lodówki pospiesznie nabytej na wyprzedaży w galerii handlowej³⁸. Z kretesem ulega więc konsump-

cyjnemu duchowi tego świata. Cóż miałby dziś zresztą do roboty, skoro ludzie prześcignęli złego ducha w wyrządzaniu rozmaitych nieprawości? Ci zaś wykorzystują ku temu każdą okazję, spektakularnie nadarzającą się w Sarajewie³⁹, pod Nowym Sadem⁴⁰, w Kijowie⁴¹. Zło wynika tutaj z ludzkich decyzji i wyborów, bywa, że zbrodniczych⁴². Bóg zaś, z całych sił swej wszechmocy stara się zapobiec skutkom fatalnych wyborów, zbawiając nawet niewierzącego⁴³. Zatem porządek rzeczy niezmiennie stawia ludzkiemu umysłowi najtrudniejsze pytania, co po doczesnej stronie bytu pozostają bez odpowiedzi. Bowiem gdy opadnie zasłona oddzielająca naszą świadomość od przestrzeni nieznającej czasu, nic jeszcze nie będzie gotowe, zauważymy, że „Są tam wszystkie/ na każde z pytań/ po trzy odpowiedzi/ i cała wieczność/ by wybrać prawdziwą”⁴⁴.

4

Daleko, aż poza widnokres poznania zabrały nas papierowe okręty Moniki Milewskiej. Powróciwszy zaś ze swych podróży, nie mają zapewne zamiaru zacumować bez ruchu w spokojnym porcie. Chętnie wezmę udział w ich kolejnych rejsach.

Piotr W. Lorkowski

³⁴ *Królowa karnawału*, KK, s. 5.

³⁵ *Z ostatniej chwili*, KK, s. 9.

³⁶ Zob. *Historia pięciu palców*, KK, s. 13.

³⁷ *Pchły*, PO, s. 14

³⁸ *Obniżka*, KK, s. 11.

³⁹ *Jabłoń*, KK, s. 35; *Granaty*, tamże, s. 37.

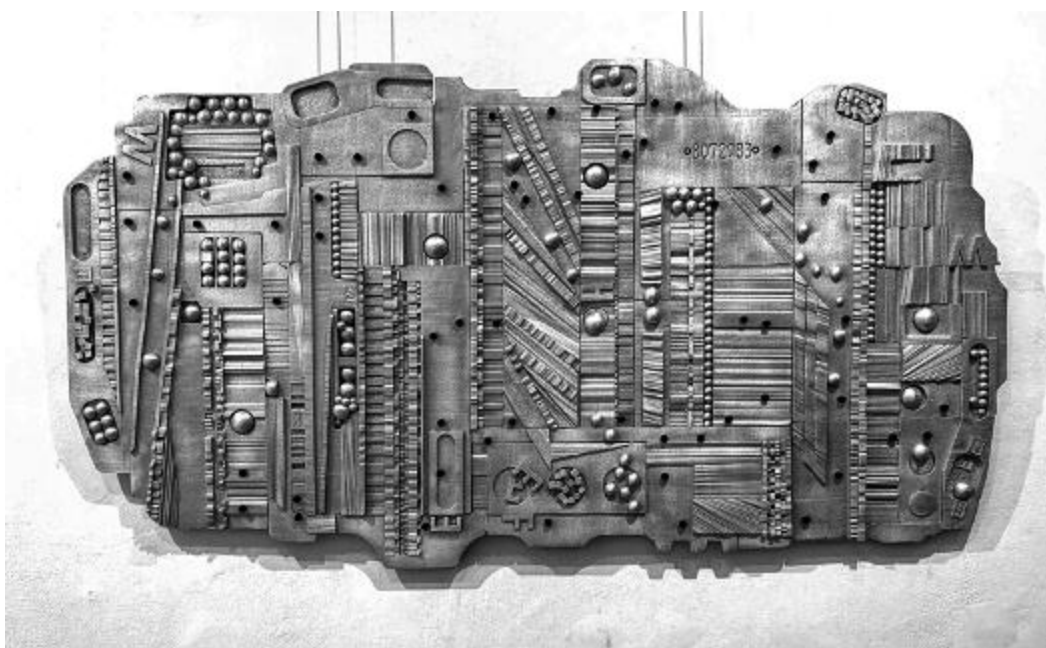
⁴⁰ *Serbska wioska*, KK, s. 38.

⁴¹ *Euromajdan*, KK, s. 31.

⁴² Zob. *Dzieciobójczyni*, KK, s. 47.

⁴³ Zob. *Krzyż*, KK, s. 40.

⁴⁴ *Odpowiedź*, KK, s. 43.



Małgorzata Wiśniewska S2 z cyklu *Strategies*, aluminium, stal, 1250 mm x 570 mm, 2023 | fot. z archiwum artystki

Magiczna Karwia

fragment książki

Tomek Lipiński

Letnie wyjazdy z Warszawy były odkrywaniem i poznawaniem całkiem innego świata. Miejsc bez dziur po kulach, bez wypalonych ruin, bez ulic naznaczonych męczeństwem. Przynosiły także smak samodzielności i wolności. Jak przez mgłę jawią mi się pobyty w Urlach i Dusznikach, bo byłem zbyt mały, by je dobrze zapamiętać.



Tomek Lipiński z czasów wakacji w Karwi | z archiwum Tomka Lipińskiego

Nie najgorzej pamiętam lato w Kobyłce pod Warszawą, gdzie spędziłem wakacje 1963 roku, przerwane nagle epidemią ospy i koniecznością powrotu do Warszawy na szczepienie. Pływaliśmy w tamtejszym stawie, otoczonym niekończącymi się krzewami dzikich róż. Łapaliśmy turkucie podjadki i żaby, graliśmy w palanta i słuchaliśmy opowieści leśniczego, wysokiego jak góra.

Nigdy jednak nie zapomnę Karwi, do której po raz pierwszy pojechałem, mając sześć lat. Była to wtedy niewielka wioska rybacka, w niczym nieprzypominająca krzykliwego kurortu, jakim jest dzisiaj. Nie było w niej nawet elektrycz-

ności. Mieszkająca na Saskiej Kępie pani Ruszkowska zabierała kilkoro dzieci dziennikarzy i artystów w długą drogę z Warszawy na Kaszuby. Najpierw pociągiem pospiesznym do Gdyni, a stamtąd wynajętymi samochodami już do samej Karwi.

Mieszkaliśmy w parterowym, ceglanym domu pod adresem Karwia 63, na zakręcie jedynej ulicy okrążającej wieś, naprzeciwko remizy strażackiej. Dom stoi do dziś, ale wszystko tam wygląda zupełnie inaczej. Wówczas było to zwykłe gospodarstwo, a jego właściciel był rybakiem. Domowi towarzyszyło obszerne podwórkó, z jednej strony przylegające do ulicy, a z dwóch pozostałych ograniczone przez drewnianą stodołę, pokrytą strzechą, oraz oborę, która była także stajnią dla konia imieniem Maks. Do jednego z boków obory, niewidoczna z domu, była przytulona sławojka – drewniana komórka z wyciętym w drzwiach serduszkciem, w której załatwialiśmy swoje potrzeby. Wieczorami palili się w domu lampy naftowe i świece. Pani Ruszkowska, którą nazywaliśmy ciocią, lubiła słuchać radia, przywoziła więc przenośną Szarotkę i kilka ogromnych baterii do jej zasilania.

Kiedy przyjechałem tam po raz pierwszy, chciałem jak najszybciej zobaczyć morze, którego nigdy przedtem nie widziałem na

własne oczy. Było piękne, słoneczne popołudnie. Wspinaliśmy się całą grupą na wysoką wydmyę pośród powykręcanych we wszystkie strony nadmorskich sosen, aż doszliśmy na jej szczyt i... oniemiałem. Ujrzałem niebo tak ogromne i błękitne, jak nigdy dotąd, a pod nim szafirowo zielone morze i horyzont, jak odcięty nożem. Stałem dłuższą chwilę kompletnie obezwładniony tym widokiem, a potem puściłem się biegiem w dół, na niewyobrażalnie szeroką i pustą plażę. Piasek pod bosymi stopami śpiewał, skrzypiał i zawodził z każdym krokiem. Jego ziarenka miały rozmaite kolory – były białe, kremowe, czerwone, a nawet czarne. Tu i ówdzie wystawały oszlifowane przez wodę, wyschnięte pnie drzew, gładkie i jasnoszare, niemal białe. Bliżej brzegu, na mokrym piasku, leżało więcej



Tomek Lipiński podczas występu – 1979 | z archiwum Tomka Lipińskiego

różnokolorowych kamyków, bielutkich muszelek, a gdzieś niedaleko pośród nich uważnym spojrzeniem można było wypatrzyć prześwieczone słońcem bursztyn. W spokojnej, czystej, przejrzystej wodzie pływały meduzy i dużo małych, cienkich rybek o okrągłych główkach. Można było wejść daleko w morze, kilkanaście metrów od brzegu zaczynała się pierwsza mielizna z wodą do kostek, a za nią druga i trzecia. Bawiliśmy się więc na rozległych płycznach, nie czując niebezpieczeństwa. Całymi godzinami potrafiłem siedzieć na piasku, wpatrując się w dal, aż nasza zaniepokojona opiekunka stała listy do mamy, że zamiast budować zamki z piasku i usypywać babki kubelkiem, siedzę nieruchomo ze wzrokiem wbitym w horyzont. Szybko okazało się, że upał i słoneczny żar mi nie służą. Dostałem udaru, potwornie bolała mnie głowa, wymiotowałem i czułem się fatalnie. Od tej pory pilnowano, bym głowę miał nakrytą i zbyt długo nie siedział na słońcu.

Przyjaźniliśmy się i bawiliśmy z kaszubskimi dziećmi. Chociaż mówiły po kaszubsku, wcale nam to nie przeszkadzało. Szybko nauczyliśmy się podstawowych słów i świetnie się dogadywaliśmy. Mali Kaszubi byli mocno opaleni i mieli niemal białe włosy, wyblakłe od słońca i morskiej wody, na całej głowie ogolone do skóry, z grzywką z przodu. Jeździliśmy z nimi i z gospodarzami zbierać siano z pola i układać je na wozie drabiniastym w wysoki stóg. Wspaniale było siedzieć na samym szczycie i wolniutko jechać kiwającym się wozem z pola do zagrody, gdzie wkrótce kilka osób widłami przetrząsało siano do stodoły. W razie potrzeby wóz można było szybko przekształcić w zwykłą furę z burtami i poprzeczną ławką. Woziliśmy nią torf z pobliskiego torfowiska za kanałkiem. W przylegającej do stodoły szopie stała masywna drewniana maszyna do maglowania. Gdy zakręciło się ogromnym kołem napędowym, słychać było charakterystyczny turkot, który wciąż

brzmi w moich uszach. Trzeba było uważać na niewiele od nas mniejsze gęsi, które miały nas za nieprzyjaciół i atakowały, gęgając głośno i wyciągając szyje, by któreś z nas uszczypnąć. Podczas tych zabaw w obejściu biegaliśmy naokoło zabudowań, uciekając przed gęsiami albo goniąc się nawzajem. Któregoś razu chciałem skrócić sobie drogę i z tyłu za oborą wbiegłem na powierzchnię pokrytą równiutko usypaną złotawą sieczką. Jakież było moje przerażenie, gdy po przebiegnięciu dwóch kroków zdałem sobie sprawę, że tkwię po pas w krowim łajnie. Był to bowiem dół, do którego sprzątano krowie odchody, przysypany sieczką, by nie parował i nie cuchnął. Ja za to cuchnąłem potężnie, wyciągnięty stamtąd i zaprowadzony prosto do miednicy z wodą. Sptukanie łajna okazało się nie takie proste, parokrotnie trzeba było zmieniać w misce wodę, przynoszoną wiadrami ze studni, a na dodatek stałem się oczywiście obiektem żartów. Na ogół byłem jednak szanowany przez rówieśników i zdobyłem nawet renomę kogoś, kto nigdy nie kłamie. Dlatego kiedy rodził się jakiś spór albo występowała różnica zdań, przychodzono do mnie, bym sprawę rozsądził.

Koń Maks był naszym ulubieńcem. Jest w tych zwierzętach coś fascynującego, nieledwie magicznego, co sprawiało, że sporo czasu spędzaliśmy w części obory wydzielonej na stajnię. Byliśmy zachwyceni, kiedy pomagający gospodarzom parobek, zawsze w dzierganej mycce na głowie, sadzał nas na Maksa i prowadził naokoło podwórka. Wszyscy chcieli pojeździć na koniu, bywało więc, że sadzał nas po dwoje lub troje i podczas takiej grupowej przejażdżki, siedząc jako pierwszy, miałem nieprzyjemną i groźną przygodę. Nikt nie zauważył, że na naszej drodze rozpięty był sznur do wieszania prania, dokładnie na wysokości mojej szyi. Dostrzegłem go w ostatniej chwili i nie zdążyłem nawet krzyknąć, gdy wpił mi się w krtań. Zanim zaczęliśmy zsuwać się wszyscy ku końskiemu zadowi, a siedzące za mną dzieci wszczęły alarm, byłem już porządnie podduszony. Przez wiele dni miałem na szyi siną pręgę, a pamięć tego wydarzenia jest tak żywa, jakby to było wczoraj. Być może dlatego nigdy już nie zawarłem z żadnym koniem bliższej znajomości, chociaż miałem wiele okazji i wciąż jestem pełen zachwytu i podziwu dla tych mądrych i wrażliwych zwierząt.

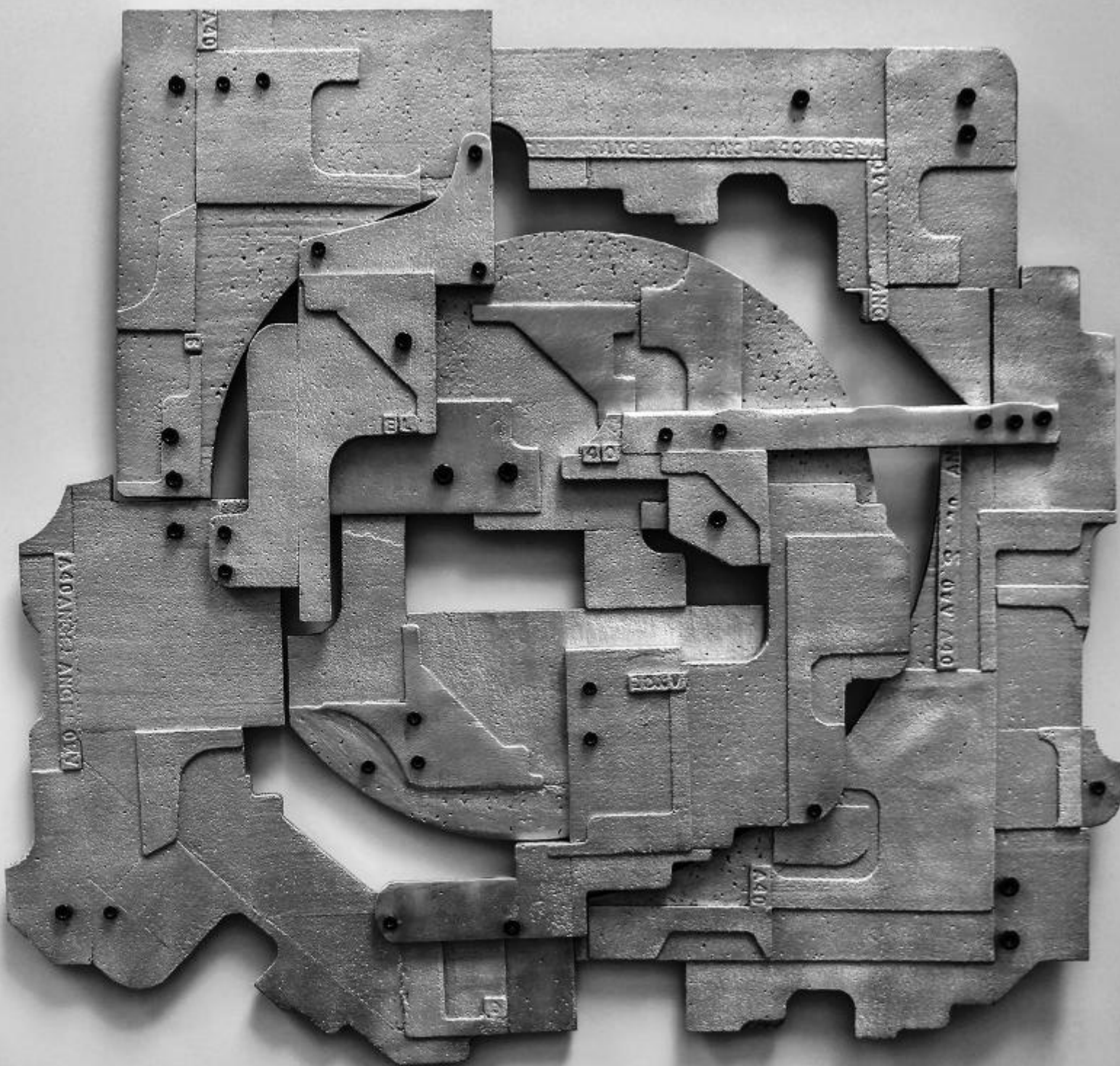
Pomimo wszystkich tych przygód, nie zawsze przyjemnych i ładnie pachnących, wakacje w Karwi, do której jeździłem przez kolejne lata, wciąż śnią mi się jako wspomnienie raju. Żywił się domowym nabiałem, owocami leśnymi i grzybami zbieranymi w rowie wzdłuż szosy do Jastrzębiej Góry. Rostło tam pełno kurek i maślaków, a samochód przejeżdżał raz na kilka godzin. Gdy rybacy wracali z połowu, cała wieś wylegała na plażę, by przy pomocy drewnianych kołowrotów i stalowych lin wciągnąć na piasek czarno-żółte łodzie. W domu pachniało rybami, których pełne były blaszane miednice. Nic nie smakowało tak wspaniale, jak świeżo złowiona, smażona flądra. Piliśmy źródlaną wodę

przywożoną codziennie beczkowitzem z ujęcia na pobliskim wzniesieniu koło wsi Ostrowo, bo ta z pompy na podwórku była rdzawa i niezdatna do spożycia. Wdrapywaliśmy się na wspaniałe nadające się do tego sosny o powyginanych malowniczo pniach i konarach, hasaliśmy po wydmach, wylegiwaliśmy się na plaży i brodziliśmy godzinami po morskich mieliznach. [...]

W roku 1966 pani Ruszkowska z jakiegoś powodu przestała nas zabierać do Karwi i cała ekipa przeniosła się na lato do Brzeźna, nadmorskiej dzielnicy Gdańska. Mieszkaliśmy przy plaży, w domu na rogu ulicy Północnej, wyróżniającym się charakterystycznymi okrągłymi okienkami na pierw-

szym piętrze. Na podwórku lokalni fani rocka budowali w komórce gitarę elektryczną. Po wystruganiu wszystkich drewnianych części nabijali na gryf druciane progi, a przystawki konstruowali z gramofonowych przetworników drgań i z pudełek po lekach. Nie wiem, jak się spisywała w charakterze instrumentu muzycznego, ale polakierowana na jaskrawoczerwony kolor, prezentowała się rewelacyjnie. Brzeźno nie było już tak czarodziejskie jak Karwia, ale miało swój specyficzny klimat, a my byliśmy przecież coraz starsi i co innego mieliśmy w głowach. Wtedy to po raz pierwszy zacząłem wraz z kolegami ukradkiem popalać papierosy.

Tomek Lipiński



Jeszcze będzie przepięknie / Jeszcze będzie normalnie

Wojciech Futek

W 2015 roku, nieżyjący już rówieśnik Tomka Lipińskiego, świetny poeta i dziennikarz Piotr Bratkowski, przeprowadził z nim wywiad-rzekę, który pod tytułem zaczerpniętym z jednej z piosenek *Dziwny, dziwny, dziwny* ukazał się w książkowej edycji, uzupełnionej autorską płytą artysty *To czego pragniesz*.

Pisałem wtedy, że „Tomek Lipiński jest żywą legendą polskiego rocka – spod różnych jego sztandarów. Zatem dziwne nie jest to, że ukazała się publikacja poświęcona temu muzykowi, lecz że dopiero teraz ktoś wpadł na taki pomysł” Książka Bratkowskiego dokumentowała wspólne z Lipińskim doświadczenia pokoleniowe – w tym odkrywanie źródeł kultury alternatywnej, muzyczne fascynacje, traumę stanu wojennego, aż po antysystemowe hasło „Nie wierzę politykom”, które nigdy nie straciło aktualności – bez względu na ustrój czy rządzącą w Polsce partię.

Dekadę później rockowy buntownik i wieczny outsider z wyboru – muzyk, kompozytor, wykonawca i autor tekstów postanowił – już bez niczyjej pomocy – napisać i wydać swoje wspomnienia. Ich pierwszy tom, zatytułowany autorską frazą *Jeszcze będzie przepięknie* ukazał się niedawno nakładem Wydawnictwa Harde. Teraz puka do drzwi tom drugi: *Jeszcze będzie normalnie*.

Czytelnicy „Słowa” mieli okazję zapoznać się wcześniej z fragmentem tej dwutomowej opowieści. To świetnie napisana (również, a może nawet przede wszystkim, od strony literackiej) bogato i ciekawie zilustrowana (z „rodinną czułością” można powiedzieć, bo za atrakcyjne opracowanie graficzne odpowiedzialna była przyrodnia siostra autora, Zuzanna Lipińska) nie tylko autobiografia wielobarwnego artysty, ale i nietypowy przewodnik po najnowszej polskiej historii (zwłaszcza tej spoza kart podręczników szkolnych). Ten pierwszy tom wspomnień obejmuje okres, znacznie poprzedzający jego narodziny (w roku 1955) aż po wprowadzenie stanu wojennego w roku 1981.

Wspomnienie raz przywołane i opowiedziane nadpisuje nową warstwę nad oryginałem i przy kolejnej relacji mówimy już nie to, co zapamiętaliśmy, ale to, co sobie przypomniaлиśmy, a następnie opowiedzieliśmy. W ten sposób wspomnienia wciąż się zmieniają, a historia pisze się na nowo

uczciwie uprzedza nas Lipiński na samym początku. Jak zatem zachować dystans do własnych i cudzych wspomnień, skoro mogą one prowadzić na manowce i nie zawsze bywają

wierne? To chyba trochę tak, jak z przekładami literackimi – te wierne nie zawsze bywają piękne, a te najpiękniejsze rzadko bywają wierne.

Staram się weryfikować wspomnienia, sprawdzać fakty, kiedy tylko to możliwe. Sięgam do notatek mamy, które spisała na krótko przed swoim odejściem. Przytaczam nieznane mi z autopsji zdarzenia, które spisał w swoich książkach tata, pamiętając, że i one są tylko kolejną opowieścią o opowieści. Jak koraliki nanizane na nić składam w całość przebiegi własnej pamięci, pojedyncze sceny wytaniające się z mroku zapomnienia, próbując nadać temu wszystkiemu jakiś logiczny sens. I to wszystko, co mogę zrobić, by zachować niezbędne minimum uczciwości i wierności temu, co przydarzyło mi się przez siedem przeżytych dekad –

zapewnia nas autor.

Jego matka to Jadwiga Lipowska, absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, studiująca tam grafikę artystyczną u Tadeusza Kulisiewicza w jednej pracowni z Janem Lenicą, Danutą Konwicką – żoną pisarza Tadeusza oraz Janem Młodożeńcem; związana po wojnie z redakcją satyrycznych „Szpilek”. Ojciec, przez większość dzieciństwa nieobecny w życiu autora, to Eryk Lipiński – popularny grafik i satyryk, scenograf, autor plakatów i ilustracji książkowych, założyciel tygodnika satyrycznego „Szpilki” i Muzeum Karykatury.

„Jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie” to oczywiście fragment tekstu autorskiej piosenki, nagranej i wykonywanej przez zespół „Tilt” w roku 1990, która po latach nieco „sklasyczniła”, stając się wręcz pokoleniowym manifestem, podobnie jak wcześniejszy, kolejny sztandarowy utwór, który wyszedł spod ręki Lipińskiego w roku 1981 *Nie wierzę politykom*. I nadal zdumiewa – po tylu latach, jak niewiele się w politycznej materii zmieniło, choć – wydawałoby się – zmieniło się wokół nas przecież wszystko. Lipiński już we wcześniejszej rozmowie z Bratkowskim konstatował z pewną rezygnacją:

Polityka stała się dziedziną samą w sobie, przestała być narzędziem do zarządzania państwem. Politycy tyle czasu poświęcają polityce jako grze obliczonej na wynik wyborczy, że już mocy przerobowych im nie starcza na zajmowanie się czymś innym.

I mówił to już wtedy artysta, głęboko rozczarowany rządami partii, która kiedyś wykorzystwała w kampanii wyborczej jego piosenkę *Jeszcze będzie przepięknie*.

Co ciekawe, tę tytułową frazę wykorzystywali też inni – oczywiście nie oglądając się na prawa autorskie – i właśnie tak tytułując swoje książki. Istnieją co najmniej dwie polskie powieści obyczajowe pod takimi właśnie, „przypadkiem” identycznymi tytułami. Zwykła uczciwość i przyzwoitość nakazywałaby użyć ich jako cytatu i opatrzyć cudzysłowem. Ale cóż szkodzi skorzystać na popularności „zupełnie przypadkowej” zbitki słów, już funkcjonujących i doskonale rozpoznawalnych w przestrzeni publicznej?

Pierwszy tom wspomnień lidera „Brygady Kryzys”, „Tiltu” i „Fotonessu” to przede wszystkim opowieść o dzieciństwie w szarej, peerelowskiej rzeczywistości, dorastaniu, poszukiwaniu wolności, buncie dojrzewania i trudnych, czasami nawet wyjątkowo bolesnych relacjach ze światem dorosłych. „Ja zawsze byłem outsiderem” – powiedział kiedyś Tomek Lipiński i z pewnością był/jest szczery w swoich zwierzeniach. Bo przed samym sobą i własną wersją opowiadanej historii nie ma przecież gdzie uciec. Jest się na siebie skazanym i – spoglądając wstecz – trzeba ze sobą, ze swoimi korzeniami i rodzinnym dziedzictwem się pogodzić, aby żyć i tworzyć dalej, starając się jednocześnie budować w tej niszowej niezależności jakąś nową jakość. Czy jest to bardziej książka rozliczeniowa czy auto-reporterska? Śmiem sądzić, że ta autobiografia to nie tylko udana próba rozliczenia się z własnymi wyborami (jakie by one nie były, ponosi się za nie określone konsekwencje) i popełnionymi błędami (bo przecież życie bez błędów byłoby niepełne),

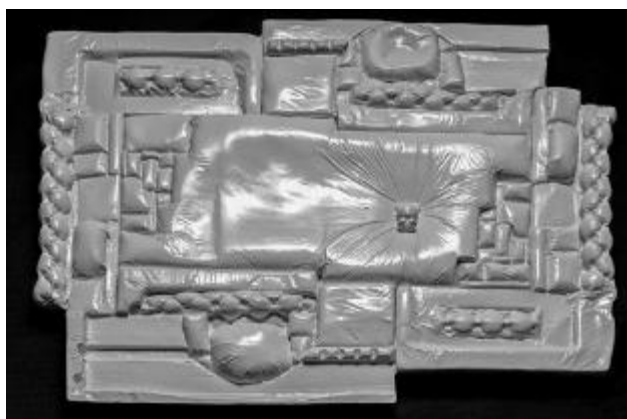
ale i naszkicowany staranną kreską „mężczyzny po przejściach” możliwie najbardziej wierny rzeczywistości „portret artysty z czasów młodości”.

Lipiński zdaje sobie po latach doskonale sprawę, że jego gniewny młodzieńczy bunt, programowa „antysystemowość” i nie zawsze trafne wybory to niezwykle ważna część jego osobowości, które ukształtowały go jako człowieka i artystę. Jest z tym swoim wizerunkiem, mitem i legendą już oswojony i pogodzony. Stara się – zarówno sobie jak i czytelnikom – wytłumaczyć siebie samego i udowodnić, że wszystkie decyzje, prowadzące do naszych małych codziennych zwycięstw i klęsk są równie ważne, ponieważ budują nasz świat i przynoszą nadzieję. Nadzieję na odnalezienie w nim niezależności, wolności i miłości. Zwłaszcza, jeśli się jest skazanym na bycie artystą, które chce/może/powinien/musi wypowiadać się nie tylko w swoim imieniu.

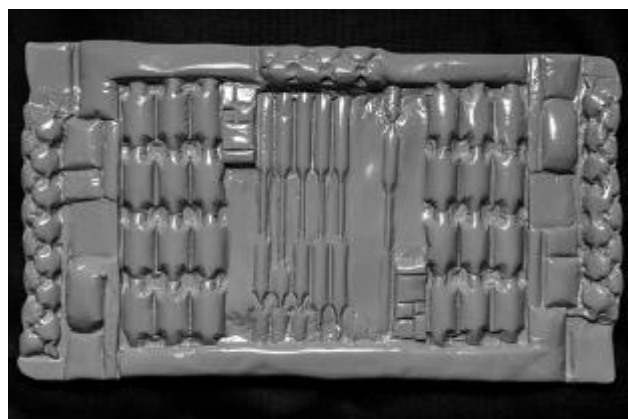
„Miłość, wolność i muzyka są tak mocno ze sobą związane, że nie da się ich od siebie oddzielić. I o tym właśnie jest ta książka” – napisał na jej okładce Piotr Niemczuk. Ta książka jest jeszcze o tym, jak nie zagubić się i pozostać sobą w świecie, który na pewno nigdy nie był i nie będzie najlepszym ze światów. Ale jest za to jedynym, jaki nam dano i warto próbować go naprawiać. Ale ten proces (wytoczony światu) trzeba zacząć od samego siebie. Od próby opisanego, wyjaśnienia i zrozumienia własnego mikrokosmosu. I zalecenia odniesionych w licznych z nim zderzeniach ran, które pozostawią nam oczywiście trwałe blizny. Ale nauczą też niezależności, która będzie towarzyszyć nam w dalszej drodze – zawsze pod wiatr i pod prąd. Bo tę książkę Tomek Lipiński napisał nie tylko dla siebie, co przede wszystkim dla tych, którzy – podobnie jak on – nie lubią maszerować w żadnym tłumie, nie wykrzykują wiecowych haseł i nie wierzą politykom, zachowując wrażliwość, artystyczny i duchowy niepokój oraz dziecięcą wiarę w cuda.

Wojciech Futek

Tomek Lipiński, *Jeszcze będzie przepięknie / Jeszcze będzie normalnie* Wydawnictwo Harde Warszawa



Małgorzata Wiśniewska *White Bear* z cyklu Pillows, 760 mm x 590 mm, aluminium lakierowane proszkowo, 2013 | fot. z archiwum artystki



Małgorzata Wiśniewska *Pink* z cyklu Pillows, 740 mm x 410 mm, aluminium lakierowane proszkowo, 2013 | fot. z archiwum artystki

Eugenia Kobylińska-Masiejewska

pisarka znad Wilii i Motławy

Maciej Żakiewicz

Łącznikiem ze światem wileńskim dla pokolenia moich rodziców była osoba Eugenii Kobylińskiej-Masiejewskiej. Ojciec, kiedy pisał dla dzieci *Krainę Sto Piątej Tajemnicy* spotykał się z pisarką. Wilnianka napisała recenzję:

Kraina sto piątej Tajemnicy – powieść dla młodzieży (dzwolona i dla dorosłych) osobliwie mnie zafascynowała. Właściwie nie od razu. Z początku czytałam ją nieufnie: co ten Zbyszek Żakiewicz fantazjuje? Jakże jeszcze ekstra pomysły strzelą mu do głowy? Chciałam odłożyć czytanie na później – kiedyś tam – lecz ani się obejrzałam (...), gdy to, co nieopatrznie uznałam za fantazję, zaświeciło mi w głowie jak tęcza i pociągnęło w Wielką Przygodę, która się odbywała w tej książce. (...) Nie mogę streszczać tej powieści: ona nie nadaje się do streszczania lecz do przeczytania. Tyle w niej dziwacznych ptaków i zwierząt, osobliwych przygód i nagłych spotkań, które niekiedy wydawały się temu i owemu groźne, a kończyły się zaskakująco zabawnie. Tylko tyle? – spyacie. O nie. Aż tyle! Te przygody są dla dzieci, które przepadają za przygodą!, więc będą miały pełną satysfakcję¹.

W 1978 roku książka zostanie wystawiona jako przedstawienie na deskach Teatru „Wybrzeże”, jedną z głównych ról – ojca bohaterki Asi, która wdepnęła w tajemniczą 105 kałużę – grał Jerzy Kiszki.

Zimą 1973 roku, odwiedziłem pisarkę wraz z Ojcem w szpitalu w Sopocie, już ciężko chorą, po amputacji nogi, w lutym 1974 roku, byłem na jej pogrzebie na cmentarzu Srebrzysto. To wówczas po raz pierwszy po wojnie wspomniano publicznie, że była odznaczona przed wojną przez Polską Akademię Literatury Srebrnym Wawrzynem. W swoim pokoiku w komunalnym mieszkaniu we Wrzeszczu pozostawiła karton zdjęć Wilna Jana Bułhaka. Jako młody chłopak nie uświadamiałem sobie wówczas, że za tą drobną, schorowaną kobietą, kryła się znana literatka, działaczka społeczna i pedagog, że należała do grona najciekawszych postaci świata literacko-artystycznego międzywojennego Wilna.

EUGENIA KOBYLİŃSKA-MASIEJEWSKA

urodziła się w Wilnie 27 listopada 1894 roku w wielodzietnej rodzinie polskiego stolarza. W 1911 roku ukończyła rosyjskie żeńskie 8-klasowe gimnazjum Prozorowej w Wilnie.



Eugenia Kobylińska-Masiejewska, 1933, Wilno | fot. Jan Bułhak

Od jesieni 1912 roku rozpoczęła studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu w Petersburgu, jednocześnie ucząc w polskiej katolickiej szkółce katedralnej, dzieci polskie były zrusyfikowane do tego stopnia, że nie mówiły po polsku. Studia prawnicze zostały gwałtownie przerwane na skutek aresztowania w 1913 roku za udział w nielegalnej organi-

¹ O pewnej dziwnej powieści (recenzja książki Zbigniewa Żakiewicza *Kraina Sto Piątej Tajemnicy*, Warszawa 1972 „Dziennik Bałtycki” nr 240, 8-9 październik 1972, s. 6.

zacji Unii Młodzieży Postępowej (Filarencji), znajdującej się pod wpływem PPS-frakcji rewolucyjnej Józefa Piłsudskiego. W Wilnie jej działaczem był Mieczysław Niedziałkowski. Na zlecenie policji Eugenia została odesłana etapem do Wilna i oddana pod nadzór policyjny. Ten okres opisze w powieści *Złote schody*. Od 1914 roku znalazła się w kręgu artystycznym Ferdynanda Ruszczyca. I zadebiutowała w „Kurierze Wileńskim” wierszem *Sit vobis terra levis*. W kręgu poznała Jana Bułhaka, z którym się zaprzyjaźniła. Artysta będzie wykonywał fotografie do jej prac pisarskich.

W okresie międzywojennym, równocześnie z pracą pedagogiczną, Eugenia Kobylińska rozwijała twórczość literacką, publikując wiersze, utwory prozą w wileńskim „Słowie” (od 1922), warszawskim „Bluszczu” (od 1930-1937) i demokratycznym „Kurierze Wileńskim”. Eugenia Kobylińska-Masiejewska była „wileńską sufrażystką”, wychowaną w kresowej uniwersalnej partyturze kulturowej. Tematyka jej prac przeważnie dotyczyła spraw kobiet i dzieci. Autorka składała sprawozdania z zebrań i odczytów poświęconych tego rodzaju problemom. Były to reportaże, między innymi o Związku Pracy Społecznej Kobiet w Wilnie. Ponieważ tematy były aktualne i dotyczyły problemów kobiet, redakcja „Kurier Wileńskiego” wydzieliła kolumnę. Rubryka nosiła nazwę „Kobieta ma głos!” (później zmieniono na „Nasze sprawy” i „Ze świata kobiecego”). Od 1930 roku Eugenia Kobylińska była członkiem Związku Zawodowego Literatów Polskich. W okresie wileńskim powstała największa część jej utworów, rozpoczynając od opowiadania humorystycznego *Pani Niuśka i jej parasolki* (1928), które weszło do zbioru *Kłopoty pani Niuśki* (1932). Napisała kilka powieści: *Utopiona lalka* (1929), *Świat w szkole* (1933), *Złote schody* (1934), *Pamiętniki nauczycielki* (1936), *Niespodzianki małżeństwa* (1937). Powstało też kilka zbiorów poezji: *Druskienniki* (1930), *Błękitne piłki* (1931), *Jesienna miłość* (1932), *W cieniu modrzewia* (1932), *Opowieści świerskowe* (1936), *Moja matka* (1937). Przed wybuchem wojny opublikowała powieść dla młodzieży *Rysiek z Belmontu*. W 1938 roku otrzymała Srebrny Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury.

Eugenia Kobylińska wypracowała swoją pozycję mrówczą pracą publicystyczną i pisarską jako bodaj najpłodniejsza pisarka wileńskiego międzywojnia – pisała dużo, z łatwością, najczęściej nawet z widocznym kompozycyjnym i stylistycznym naddatkiem.

Wojnę przeżyła w okupowanym Wilnie i, jak wielu, opuściła tę krainę w 1945 roku. Pojawiła się w zniszczonym Gdańsku, podejmując trud budowania życia rodzinnego, zawodowego, społecznego na ziemi nowych przeznaczeń. Zakończona wojna i powojnie zawierało w sobie nie tylko pionierskie dokonania, ale pamięć o ucisku i rozpacz. Właściwością pierwszego powojennego okresu jest dylemat, co jest właściwe, czy aby ciągła niepewność i napięcie? Bo wiele historii nie było ustatych różami.

W rękopisie *Testament mój* z grudnia 1949 roku pisała:

Kończy się rok 1949. Bałam się go. Miałam słuszość, świat nie tylko się nie polepszył w dziedzinie miłości bliźniego, ale brnie coraz dalej w nienawiści. Jestem coraz bardziej chora i coraz bardziej zmęczona. (...) Moje miejsce jest w tłumie ludzi nie nadążających za postępem, zakłopotanych i strapionych i nic nie mogących. Tam wśród nich mogę robić jedno: łagodzić nienawiść, której ulegają czasami ludzie, wplątani w niespodziewaną matnię. (...) Ale najczęściej spotkałam się z oporem, kiedy głoszę, że skrzywdzony, powinien strzec się nienawiści i zdobyć się na sprawiedliwą ocenę.

(...) Na Boże Narodzenie 1949 roku papież ogłosił Rok Święty i wezwał do zgody i wzajemnego przebaczenia. Ale za długo już widać żyłam, bo nie wierzę, żeby to pomogło. (...) Przyszedł czas heroicznego chrześcijaństwa i takie chrześcijaństwo zgadza się z moim pojęciem, zapanowania macierzyńskiego pierwiastka na świecie.

(...) Wobec tego straciłam, zrozumienie radości, ja taka skłonna z natury do śmiechu. Gdy straciłam wiarę w prawdziwą radość, nie mogłam już odnaleźć śladów Boga. (...) Jeżeli straciłam łączność z Bogiem, to nie znaczy, że neguję Jego ostrzeżenie. Bóg wyszydzony i odpędzony staje mi się droższy.

(...) Ja naprawdę wierzę w socjalizm. Ale muszę go połączyć z wyznaniem wiary w Ideał, bo nie chcę robić kariery na socjalizmie, który ma zbyt twarde metody. (...) Błędne koło. (...) A ja wyszłam z tego koła. Nie chcę, żeby zabijano, nie chcę, żeby niszczone – chcę, żeby było inaczej. Podobno – będzie w socjalistycznym społeczeństwie bezklasowym. Ale jeszcze się mało o tym pisze i mówi. Wszystko zajęte jest tylko walką. Nawet na marzenia czasu nie starczya².

Eugenia Kobylińska Masiejewska została wychowana na tradycji wileńskiego Piłsudskiego „romantycznego socjalisty”, na lekturach Żeromskiego o szklanych domach, jak wielu z jej pokolenia. Ale praktyka polityczna, z którą zetknęła się po wojnie, to „diamat” – leninowski materializm dialektyczny, „symulakr” zbudowany z dialektycznego żargonu i pseudonaukowych twierdzeń. Stąd „błędne koło”³. Po latach to Józef Tischner zobaczy to już przejrzyściej – Powojenne pokolenie żyło w trudnym pomroku dziejów, jakim był stalinizm, nieustannym szarpaniem się z sowiezizmem – wyobcowaniem, uwikłaniem w fatum przemocy, kłamstwa, ideologii, biedy.

Z wojennych ruin wyłaniała się „Polska Piastowska”, bez Wilna i Lwowa. Eugenia Kobylińska-Masiejewska po przybyciu do Gdańska widzi nad Motławą eksodus ludności

² Eugenia Kobylińska – Masiejewska, *Testament mój* grudzień 1949, s.129 rękopis. Biblioteka Gdańska PAN

³ Vladimir Tismaneanu, *Diabeł w historii, komunizm, faszyzm i inne lekcje wieku dwudziestego*, PIW, Warszawa 2018



niemieckiej. Rządy sprawowane są przez sowieckie komendantury wojenne, które powoli oddają władzę cywilną polskim „grupom operacyjnym”. Pisarka podejmuje pracę w powstającym Państwowym Gimnazjum i Liceum we Wrzeszczu przy ulicy Pniewskiego (od 1952 roku przy ulicy Gołębiej 3). Dzielnica ta była mniej zniszczona niż Śródmieście. Pierwszy rok szkolny 1945/46 rozpoczął się 4 września 1945 roku, w placówce naukę podjęło 616 uczniów. Utworzono wówczas 22 klasy, w tym 15 klas gimnazjum i liceum oraz siedem klas semestralnych tzw. „ceesów”, czyli „ciągów skróconych” dla młodzieży, która musiała nadrabiać stracony czas nauki z powodu wojny. We wrześniu 1945 roku w szkole odbyła się pierwsza matura w mieście. 2 grudnia 1945 roku, dzięki inicjatywie dyrektora Zbigniewa Rynducha, szkole nadano imię dr. Władysława Pniewskiego, który zginął w lasach koło Stutthofu.

GDAŃSK MIAŁ BYĆ MIASTEM STOCZNIOWCÓW I RYBAKÓW, GDZIE MÓWIONO SZEPTEM

Okres pionierski kończy się szybko, w 1947 roku; w Gdańsku zmarginalizowano PSL, którego siedziba znajdowała się na Parkowej we Wrzeszczu. Stalinizacja Polski to program przebudowy jej struktury socjalnej i odwrócenie wektora tradycji kulturowej, uczynienia Polski „sowiecko-

ludowej”. W szkolnictwie zaczęły pojawiać się „istotno ruskije” obyczaje. Jeden z kuratorów charakteryzował stan nauczycielski:

W Polsce Ludowej często uczy w szkole nauczyciel tzw. niewykwalifikowany. Jest to element najbliższy nam klasowo. Powinien znaleźć się w mieście, gdzie dotychczas pracowali starzy rutyniarze nauczyciele wychowani za czasów sanacji. Nauczyciel powinien każdą godzinę szkolną poświęcić godzinie wychowania socjalistycznego (...), musi być nosicielem ideologii marksistowsko-leninowskiej, kolektywnym wychowawcą i agitatorem⁴.

Od roku szkolnego 1948/1949 zaczęto wzorem rosyjskim wprowadzać 11 letni cykl kształcenia podstawowego i średniego, tak zwane jedenastolatki, obejmujące 7-letnie szkoły stopnia podstawowego i oparte na nich 4-letnie licea ogólnokształcące z klasami VIII-XI.

Eugenia Masiejewska-Kobylińska w 1947 roku decyduje się na odejście z zawodu, przechodząc na emeryturę. W tym roku zgłosiła akces do Związku Literatów Polskich w Sopocie. Zostanie wybrana do Sądu Koleżeńskiego i Zarządu Oddziału ZLP. Jeszcze w 1948 roku w Poznaniu, w znanym sobie sprzed wojny środowisku Księgarni św. Wojciecha, wydaje powieść dla młodzieży *Jak i b odkryła Nowy ląd*.

Anna Harasim, która, jako dziecko, z rodzicami przybyła z Wilna do Gdańska, wspominała autorkę i jej książkę:

To był rok 1955. Byłam świeżo po lekturze powieści Eugenii Kobylińskiej-Masiejewskiej *Jak i b odkryła Nowy ląd*, która mnie zauroczyła. O autorce wiedziałam (znała ją moja Matka), że pochodzi z Wilna, gdzie, po studiach pedagogicznych na USB, była nauczycielką. Pisała też i publikowała poezję i prozę. Dlatego byłam przekonana, że akcja powieści musi toczyć się w Wilnie, jej i moim rodzinnym mieście, choć nie zostało ono nazwane. Któregoś dnia na lekcji polskiego poszliśmy do Studia Rapsodycznego (przy ulicy Wajdeloty we Wrzeszczu) na spotkanie z Pisarką. Elegancka, niewysoka starsza pani z ogromną swadą i humorem opowiadała o tej właśnie książce, o jej bohaterach, przedwojennych gimnazjalistach. O sztabakach, którzy chcieli dokonać wielkiego czynu... Od tego spotkania upłynęło już blisko siedemdziesiąt lat, szczegóły opowieści uleciały z pamięci. Pamiętam tylko swoją fascynację, zastłuchanie, a na końcu... żal i rozczarowanie, że podczas całej gawędy ani razu nie padło, najważniejsze przecież i oczekiwane!, słowo: WILNO. Wówczas jeszcze nie wiedziałam, że taki był warunek pozwolenia na wygłaszanie prelekcji. Dzisiaj, kiedy wracam we wspomnieniach do spotkania z Pisarką, jestem pewna, że powieść jest obrazkiem z przedwojennego Wilna. Że każdy z jej bohaterów istniał naprawdę wśród wileńskich gimnazjalistów z lat 30.

⁴ Bazyli Karet, *Gdynia*, Gdynia 1968

Potwierdzenie Anna Harasim znajduje w „Przedmowie” Autorki:

(...) Te notatki z życia szkolnego były wówczas robione na gorąco i zawierają fragmenty z życia pewnej klasy pewnego męskiego gimnazjum. Gdzie to było? Może w Białymstoku? Może w jakimś innym mieście. (...) Czy chłopcy z I b istnieli naprawdę? O, tak! Tylko nie pytajcie mnie, co się z nimi stało. Nie chcę mówić o tym! To są już mroczne sprawy wojny, nienawiści i krwi. A oni wtedy nie domyślali się, czym jest w rzeczywistości wojna i nie wierzyli w nieszczęście. Więc też zamiast myśleć ze smutkiem, co było potem, chodźmy lepiej razem do tej I b, żeby przeżyć z „beciakami” ich przygody szkolne od szóstego listopada do dwudziestego drugiego grudnia 1938 roku.

Słyszycie przebrzmiały gwar w owej klasie na nieistniejącym już korytarzu spalonej szkoły? Spod gruzów, dymu i zgiełku minionych lat wyczarowuję znów błękitne oczy i jasne włosięta Zbyszka Kowaleckiego, faworyta księdza prefekta. Ksiądz prefekt zginął przywalony cegłami kościoła – tego nie zataję. On to rzekł ongiś: – Ciekawa klasa! Jakiś Koszałek-Opalek musiałby jej dzieje opisać. To byłby gruby tom! Więc spełniam to życzenie. Oto sześć tygodni życia nieprzeciętnej klasy. Są wszyscy. Żyją! I ksiądz żyje. Jak to dobrze! Witajcie, drodzy moi, w tych sklepionych krętych korytarzach naszej dawnej szkoły!

Anna Harasim dodaje:

W dziejach Wilna zapisane jest wydarzenie zbombardowania kościoła św. Rafała przez samoloty niemieckie 22 czerwca 1941 roku: „bomba, która spadła na kościół, przebiła sklepienie oraz posadzkę i wpadła do podziemi. Schroniło się tam wielu ludzi, m.in. ks. dr Wacław Siekierko, który wówczas zginął. Był on prefektem szkół średnich w Wilnie...”. Niewątpliwie to o nim pisze Autorka. W Archiwum Prowincji O.O. Jezuitów wśród mnóstwa dokumentów, związanych z Gimnazjum Jezuitów w Wilnie, znajduje się: „Kronika klasy 1 b, rok szkolny 1938/39, tekst i liczne zdjęcia⁵.”

W 1950 roku pisarka tłumaczy z rosyjskiego *Opowiadania kijowskie* (Warszawa 1950), ukraińskiego pisarza Jurija Janowskiego, urodzonego w 1902 roku. W 1919 roku ukończył szkołę realną w Kijowie. W okresie krótkiego istnienia Ukraińskiej Republiki Ludowej był kawalerzystą Ukraińskiej Armii Czynnej. Przeżył stalinowskie czystki, które dotknęły piszących po ukraińsku, by w latach 1941-1946 zostać korespondentem wojennym rosyjskojęzycznej „Literatury Ukraińskiej”. Jego pisarstwo było skrojone na miarę sowiecką, ale posiada warstwę osobistych przeżyć. Obrazuje dzie-



je Wschodniej Ukrainy jako ziem znajdujących się pod prężnym wpływem Moskwy od czasów Piotra Wielkiego, także pod presją Turcji, aczkolwiek przez większość XVIII wieku pozostających w granicach Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Narracja nowożytna to wojna obronna z wojskami hitlerowskimi na stepach ukraińskich. Opowiadanie pierwsze – scenka w okopach w oczekiwaniu na rozpoczęcie walki, gdzieś pod Charkowem i Kijowem:

Żołnierzom przyjemnie było, gdy odwiedzała ich sierżant Perora. Wnosiła ze sobą osobliwą wewnętrzną czystość, którą odczuwało się na tej przedniej linii frontu jako najdroższe tchnienie ojczyzny – rodziny – towarzyszy – przyjaciół. Patrząc na Perorę żołnierze wierzyli swoim żonom, córkom, narzeczonym, że czekają, kochają, pamiętają.

W opowiadaniu Stalin rysuje się jako wielki ojciec narodu, do którego chłopci, żołnierze i dzieci zanoszą swoje troski. Ale to decyzja Stalina z września 1941 roku spowodowała, że podczas ataku wojsk hitlerowskich na Kijów wysadzono zbiorniki wodne wokół miasta, na skutek czego utonęły tysiące mieszkańców, nie ocalały jednak armie sowieckie;

⁵ Anna Harasim, *Wilno – obrazki z przeszłości*, marzec 2022, zapis komputerowy



śmierci zaznały setki tysięcy mieszkańców ziemi ukraińskiej i rosyjskiej.

W innym opowiadaniu, traktującym o ziemi, właściwie brak odniesień do kolektywizacji, do wielkiego głodu, kiedy ofiarą padły miliony ukraińskich chłopów. Kiedy historia nie do końca potoczyła się w myśl przewidywań Marksa, Lenin i jego zwolennicy przeistoczyli teorię by ogłosić, że rewolucyjna awangarda zbudzi Wschód z jego pradawnego snu. To zaś wymaga, przekonywali, rozbicia skostniałego starego społeczeństwa – bez względu na koszty. Na takim tle pisarz snuje fantastyczne wizje mechanizacji rolnictwa, lepszych genetycznie odmian pszenicy, bez ostrych kłósów, z 80 ziarnami na tony. „Na Ostatnie opowiadanie poświęcone jest Donbasowi, z którego w 1920 roku bolszewicy, wyruszyli na Kijów, by powołać Ukraińską SSR.

Daleko za Dnieprem i stepem promieniował i dygotał w pracy legendarny Donbas. ... Wykształcimy go na inżyniera i znajdziemy mu piękną żonę. Przygotowywać go będę do szeregów partyjnych, przecież u nas w Zagłębiu Donieckim taki klimat, że prędko ludzie rosną⁶.

⁶ W 1930 roku ukazała się powieść J. Janowskiego, *Cztery szabl*, w której widzimy zrewolucjonizowany żywioł chłopski

W Gdańsku pisarka czyta w tym czasie pracę Stanisława Szantera (1910-1991) *Socjologia kobiety* (Warszawa 1948) i pisze:

Znałam dawniej Szantera, w Wilnie, wydawał mi się nieco „postrzelony”. Ale siedzę teraz nad jego książką wdzięczna mu jestem”(…) „Polska – o – to jest niedobra ojczyzna. Miłość do niej bolesna jest i gwałtowna, gdy już opanuje serce. Radości tyle co nic, a cierpienia... wprost niezmiernie morze⁷.

Gdański październik 1956 roku

Zmiany w życiu pisarki pojawiają się jesienią 1955 roku. Odnajdujemy je w *Pismach* 1955-1956:

31.12.1955 Sylwester. Nie mam żadnego dobrego przecucia co do następującego roku. Co może mnie czekać ciekawego i radosnego? Ludzi starszych spycha się na margines życia, szczególnie chorych. Ze szkolnictwa odeszłam już w roku 1947 z powodu choroby serca. Po 30 latach pracy mam 320 zł. Emerytury. Pozostawałaby praca literacka. Ale tu są wielkie utrudnienia. Cóż z tego, że jestem zdolna, gdy nie mam sił, żeby jechać do Warszawy, przedstawić swoje racje wyklócić się o prawo do życia jako pisarza.

Rozmowa brata z Eugenią – Nie trudź się. Nie umiesz wykręcać kota ogonem, a masz za sobą książki, które nie są w obecnym duchu.

– Ale Kocham tę właśnie Polskę w nowej odmianie i chcę dla niej pracować.

– Miłość nic nie znaczy. Grunt to wysuwanie się, skandowanie, wiwatowanie, pokazywanie się. Kajanie się. Umiesz to robić?

– No, nie – zmartwiłam się

– A napiszesz panegiryk na cześć Wielkiego Stalina?

– Nie potrafię.

Sylwester 1955/1956. Biją zegary w całej Polsce. Niechże Jej wybiją szczęśliwe godziny. Polska jest sprawą niesłychanie trudną i przenikliwą do utraty tchu. Kocham ją. Tą bolesną miłość wszczepiono mi od dzieciństwa i będzie ze mną trwać aż do końca.

Styczeń 1956. „Dom”? Co to znaczy? U narodów, które nie podlegają takim burzom jak my, w krajach ułożonych z jakimś geograficznym sensem „dom” oznaczać może choćby małą ale stałą siedzibę ... staroświeckie sprzęty.

na Ukrainie. O rewolucji i wojnie domowej na Ukrainie traktuje powieść *Jeźdźcy* 1935, wyd. polskie Lublin 1982

⁷ Eugenia Kobylińska-Masiejewska, *Testament mój grudzień* 1949, s. 129. Rękopis. Biblioteka Gdańska PAN

„Dom”, „dom”. W Polsce „dom” robi się tam, gdzie wkracza kobieta. Te polskie kobiety umieją z niczego wyczarować atmosferę „domu”.

Byłam w końcu roku 1954 i na początku 1955 w Klinice, przeprowadzono wybory do Rad Narodowych i zostałam radną WRN. To mnie zaskoczyło. Doprawdy nie wiem, jak to się stało. Ale że weszłam do Komisji Oświaty, wzięłam swoje obowiązki bardzo na serio, gdy chodziło o przyjęcie z pomocą nauczycielom. Zaczęłam systematycznie odwiedzać na własną rękę szkoły i zapisywać zalety i skargi nauczycielstwa i ich mądre nieraz uwagi i spostrzeżenia. Zaczęłam chodzić z odczytami i do nauczycieli i do młodzieży i przekonałam się, że nauczyciele mnie lubią, a młodzież chętnie słucha. To mi sprawiało niespodziewaną radość. Wiecie – to było dziwne. No, tak, jakby mi Polska pogłaskała po głowie (...) Miałam się oszczędzać. Mnie się wydaje, że trzeba robić tak jak Kraszewski, który powiedział „Życie jest chorobą, a praca jedynym lekarstwem”.

13 styczeń – luty 1956. Praca społeczna. Nie wiem, właściwie za co się chwytać. Jestem w Zarządzie Wojewódzkim „Caritas” w Komisji Działaczy Katolickich, w Komisji Oświaty WRN i w samej Radzie w Związku Literatów, rwę się do pisania, rwę się do, żeby wszystko widzieć i o wszystkim wiedzieć, bo życie jest takie ciekawe, a czasu i sił nie stanie. (...) W radiu proszą mnie o audycję dla dzieci. Ślicznie. Wiem, że umiem przemawiać do dzieci. (...) Biblioteki proszą o odczyty. Podoba się im, co mówię. W oddziale „Słowa Powszechnego” zostawiłam tekst, ale w Warszawie go nie wydrukowano. W „Zielonej Bramie” w Gdańsku, bo tam pragnę porozmawiać z architektami, rzeźbiarzami i malarzami o wszystkim, co się dzieje nowego w Gdańsku. (...) Byłam w szkołach nr 18, 28, 33, Nauczyciele ciągle mają jakieś zebrania. To co miałam nie może ujrzeć się w druku. (...) Od roku 1948 nie udało mi się wydać żadnej książki. Czy wiersze moje o Gdańsku nie są ładne? Gdy wyszłam ze szpitala roku 1955 uporządkowałam je, ozdobiłam zdjęciami Jana Bułhaka i któregoś wiosennego dnia ofiarowałam na posiedzeniu MRN – złotemu Miastu w darze. (...) Te wiersze wziął Julian Cybulski, przewodniczący MRN, obiecał mi postarać się o ich opublikowanie... i nic⁸.

Pisarka zaangażowała się w przemiany październikowe. W dniu złożenia rezygnacji w KW PZPR w Gdańsku przez stalinowskich sekretarzy wydrukowała w „Rejsach” poetycki manifest, wyrażający pragnienia i oczekiwania zmian. Polska Gomułki miała być lepsza od Polski Bieruta.

Głośnikom wyrosły skrzydła!
Serca frunęły nad głowy!
Słowa. Co tłumom obrzydły
Zadźwięczały znów kryształowo
Polska się w słowie wyłania
i kłamstwo w ustach nie chrzęści -
ktoś zaniósł się krótkim tkaniem
ze szczęścia.

Z nakazu nie będą płakać.
Śmiać się i krzyżeć radośnie,
nie pędził ich żaden nakaz
pod głośnik

To nie reżyser w teatrze
dał rewię stubarwnej blagi -
tutaj nam nie chcą zatrzeć
prawdy nagiej.

Zdrap no różowy lakier,
rany i blizny odkryto
i pójść chcesz własnym szlakiem,
Rzeczypospolito!

I oto, sobie się dziwiąc,
ci nawet, co krzywd doznali,
czują, że wstaje w nich żywioł:
wiara w zwycięski socjalizm.

Dobrze to chwili doczekać,
kiedy się prawda objawia –
targnąłeś w Polsce człowiekiem,
Wiesławie

Dziś bursztynowo – rzęsiście
mieni się polski październik.
Serca i ręce oczyścić –
niech będą złote jak liście,
I wierne⁹.

Polski październik 1956 roku dla społeczności Gdańska to nie tylko czas zmian politycznych, ale pierwszego w mieście autentycznego ożywienia kulturalnego. Władzę wojewódzką, starając się odrzucić dziedzictwo bierutowskie, dając temu wyraz powołaniem klubu studenckiego „Żak” i klubu „Rudy Kot”. To na Wybrzeżu w salach Politechniki Gdańskiej powstanie teatr studencki „Bim-Bom”, odrodził się Związek Harcerstwa Polskiego, powstaje regionalne Zrzeszenie Kaszubskie. W prowincjonalnym dotąd Sopocie

⁸ Eugenia Kobylińska-Masiejewska, *Pisma 1955-1956*. Rękopis. Biblioteka Gdańska PAN

⁹ Eugenia Masiejewska-Kobylińska *Tłum przy głośnikach na ulicach Gdańska* „Dziennik Bałtycki” – „Rejsy”, nr 44, 24 października 1956

będzie miał miejsce pierwszy festiwal jazzowy Leopolda Tyrmandy i Stefana Kisielewskiego. Wydawnictwo Morskie zacznie drukować liczne prace zrywające z socrealizmem. Ze szkół znikają tłumaczone z rosyjskiego podręczniki do nauki historii. Nowo mianowany biskup gdański ks. Tadeusz Nowicki porządkuje sprawy diecezji i otwiera pierwsze w dziejach miasta Katolickie Seminarium Duchowne.

Wśród księzek dla dziewcząt

Dla cenzury „czarną plamą” w biografii pisarki stały się jej przedwojenne książki oraz wiersze stawiające „dromomieszańskie” ideały. Redaktor Eugenia Kochanowska poruszyła kiedyś ten drażliwy temat przynosząc jej tomik poezji *Druskienniki* z 1930 roku. Otwiera go dedykacja: „Józefowi Piłsudskiemu”. „Najpierw Eugenia Masiejewska-Kobylińska bardzo się ucieszyła i zdumiała zarazem na widok tej książki. Skąd Pani to ma. Jak się uchowało! Ja wszystko straciłam”¹⁰.

Autorka w 1958 roku wydaje *Mamę i Dzidzię*. I jednocześnie, nakładem Wojewódzkiego Domu Kultury, ukazują się jej *Bursztynowe piosenki*, a wśród nich słynny wiersz o Gdańsku i Wilnie:

Dawniej miałam inne miasto, pod Zamkową górą śpiące,
z ludem, co się zwał „tutejszy” wlewał śpiewność w polską
mowę,
dziwne miasto z dzwoniczami wśród gołębi gruchających.
(...)
Teraz kocham drugie miasto z kościołami jak fortece,
z innym ludem, który twardo w polskiej mowy rytm uderza,
nad tym miastem Zygmunt August nad Ratuszem czuwa
świecąc
i kotują białe mewy nad szczytami ciemnych wieżyc.

W 1966 roku Eugenia Kobylińska-Masiejewska publikuje powieść *Córki chcą inaczej*. Książka skierowana jest do nastoletnich dziewcząt, ukazała się w momencie, w którym literatura dla młodzieży dynamicznie się rozwijała, a książki kierowane do nastolatek pojawiały się jak grzyby po deszczu. Ich prawdziwy wysyp ma miejsce między rokiem 1958 a 1966. Książka Eugenii Kobylińskiej świetnie odnajduje się wśród tych pozycji. Przedstawione tło epoki jest realistyczne, czuć w nim jeszcze popaździernikowy klimat, lecz stagnacja „małej stabilizacji” jest już obecna. Pokoleniowy dwugłos/wielogłos jest w *Córkach...* bardzo precyzyjny – bohaterowie są kształtowani przez horyzont własnych doświadczeń, nie szerszy niż ich osobista pamięć. Teza dydaktyczna, dość subtelnie przenikająca powieść, dotyczy współodpowiedzialności za relacje rodzinne, która



Eugenia Kobylińska-Masiejewska, podpisuje egzemplarz książki *Córki chcą inaczej*, 1967, Gdańsk | ze zbiorów Muzeum Miasta Gdańsk

spoczywa na rodzicach, ale też na dorastających dzieciach. Poszukując kulturowych tropów, można przypuszczać, że historia bohaterek, 16 letnich uczennic z IX b, dzieje się we Wrzeszczu w roku szkolnym 1960/1961 w II Liceum przy ulicy Pestalozzkiego, w pobliżu którego mieszkała sama autorka. Na stronach pojawia się dobrze znana ulica Grunwaldzka z czerwonymi tramwajami, kawiarnia „Morska”, ulica Uphagena z siedzibą Radia Gdańsk, w końcu solidny czerwono-ceglasty budynek męskiego technikum Conradinum.

Jedna z nauczycielek przepracowała w szkole 16 lat. Od 1945 roku.

Pani Klara, była niemłodą nauczycielką, uczyła jeszcze przed wojną i jako nauczycielka na swojej własnej skórze odczuła zmienność kierunków, metod i eksperymentów wychowawczych. I ciągle się eksperymentuje.

Bohaterki? Ojciec jednej jest alkoholikiem, matka zaś mówi:

Wojna wielu ludzi wypaczyła, córeczko. On na wojnie spisywał się bohatersko. Ale wojna go nauczyła pić. A potem przecież pamiętasz, miałaś już dziewięć lat, aresztowano go. Więzienie -niesprawiedliwe, niezastużone. Takie były czasy. Jakiś donos. Chodziło o przeszłość w AK. Zwolniono go i zrehabilitowano, ale nie mógł zapomnieć o tym.

Ojciec kolegi Rudka jest aktywnym działaczem partyjnym. „Ciężkie życie nauczyło go podejrzliwości i surowości”. Uważa, że syn jest za mało wyrobiony ideologicznie, aby słuchać Armstronga. Sam określa się jako ateista, ale na pogrzebie matki nie protestuje, kiedy umieszczono na jej piersiach obrazek Matki Boskiej. Matka z kolei spędza czas na posiedzeniach Ligi Kobiet. Młodzież zaś chce założyć klub jazzowy, zaś w szkolnym kole ZMS dyskusje koncentrują się na Bogu i komunizmie. Odrodzone po 1956 roku harcerstwo, ma załagodzić te napięcia. Ale czy to możliwe? „W jakim kraju mieszkacie? Nie wiecie, co to Front Narodowy?!” W raptularzu szkolnym z 1961 roku „Zarząd

¹⁰ Eugenia Kochanowska, *Odeszli w Cień*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1981

klasy IX b (wraz z aktywnym klasowym) wziął czynny udział w przygotowaniu święta 1 maja i 9 maja Dnia Zwycięstwa"... Odniesienia do Wilna, pojawiają się w całym tekście dwa razy. Agata, babcia Bożenki:

Zdrzemnęła się, siedząc przy oknie. Przyśniło się jej, że jest w Wilnie w 1944 roku i właśnie samoloty radzieckie bombardują obiekty niemieckie w mieście. Agata ucieka pustymi ulicami i myśli z rozpaczą, że czy miasto wróg zdobywa czy się je wyzwala od wroga, to zawsze można zginąć przy tej okazji".

... a z nadejściem Rosjan powrócił cień łagrów.

Drugie wspomnienie ma charakter subtelny i ukryty, bowiem cenzura aż do 1989 roku pilnowała, by korzeni wileńskich tak wielu gdańszczan nie ujawniać. Toteż mogli ją rozumieć tylko ci, którzy byli nosicielami tej tradycji. Córka Ewa nie może zgodzić się na rozwód rodziców. –

– Ja nie chcę żyć, gdy jedno z nich odejdzie". – A ja? A ja? Zabito mi męża i syna zamordowano, i Inkę, łączniczkę AK, 15 letnią jak ty, dziecko jeszcze w szkolnym mundurku. I żyję¹¹.

Inka – sanitariuszka wileńskich partyzantów, niewinna ofiara Rejonowego Sądu Wojskowego we Wrzeszczu...

Kłopoty z prababką

Człowiek sam się określa duchowo. Odnosi ducha do dziejów narodu, jego języka, kultury. W 1972 roku Zbigniew Żakiewicz i Bohdan Cywiński zostają laureatami Nagrody Kościelskich. Tego ostatniego *Rodowody niepokornych*, czytane u ojców Dominikanów w Gdańsku przez młodzież maturalną z I Liceum Ogólnokształcącego, miały być intelektualnym doświadczeniem pokolenia, które dojrzewało w cieniu grudniowej tragedii i które miało za kilka lat ujawnić swój wpływ na Polski Sierpień 1980 roku.

Autorka publikuje w tym czasie ostatnią powieść *Kłopoty z prababką* (Gdańsk 1972). Jest to ciepła i pełna humoru saga rodzinna. „Energiczna pani Anna z Wirskich Łotejkowa, starsza pani jeszcze dostatecznie krzepka, żeby trzymać w ryzach nie tylko swoją rodzinę, ale po części i podwórze” to nie tylko główna bohaterka ostatniej powieści Eugenii Kobylińskiej-Masiejewskiej, ale w dużej mierze również duchowy portret samej autorki. Wspomina o tym Eugenia Kochanowska, redaktorka Wydawnictwa Morskiego:

(...) zabierała gruby maszynopis pod pachę i jechała na małą uliczkę Pestalozziego 19 we Wrzeszczu, gdzie w niewysokim, skromnym domku autorka mieszkała, przez te wszystkie powojenne lata. (...) Pani Eugenia miała wtedy 77 lat, chorowała poważnie na serce i z konieczności musiała zrezygnować z aktywnych działań. Całą swoją aktywność przelała w postaci Anny z Wirskich Łotejkowej. Prababka jest niestrudzoną w sterowaniu dziećmi, wnukami i prawnukami. Pisarka była już wdową, jej towarzysz życia, Kazimierz Maciejewski, obumął ją przed kilku laty. Ignacy Łotejko jako mąż Anny z Wirskich. Ze zgrozą patrzyłam na piec w dwóch pokojach, na węglową płytę w kuchni z typu tych, co to nie do ogrzania. – Nie dorobiłam się luksusów – uprzedzała pisarka moje jakiegokolwiek pytanie w tej materii – ale mnie tu dobrze, nie narzekam. Coraz ktoś przyjdzie, pomoże, wpadają moi dawni uczniowie, przecież uczyłam w tym Liceum parę domów dalej (...)”¹²

W powieści przewija się silnie wątek wysiedleńczy i syndrom ludzi wykorzenionych:

Gdy jechali do Gdańska. Anna przysięgała sobie, że już do niczego w życiu przywiązywać się nie ma zamiaru. Ani do nowych ludzi, ani do nowej sytuacji, ani do nowych miejsc. Nigdy. Ba ! „Nigdy” to niebezpieczne słowo. Można przez nie wpaść w pułapkę. I Anna wpadła w ten Gdańsk. I to po uszy. Zakiełkowało w niej nową pasją. „Miasto Gdańsk, niegdyś nasze, będzie znowu nasze”. – powtarzała słowa Mickiewicza. A więc jest nasze. W gruzach. Nic to. Od czego łopaty, kilofy ? Od tego się zacznie odbudowa (...) Anna z łopatą w ręku przeżywała swoją nową pasję. Mocno. Jak to ona¹³.

Wzruszająca książka. Całkowicie bezpretensjonalna. Stanowi zapis codziennego życia kobiety, ba, kobiet. Jest to opowieść o matce autorki, Marii z Iwaszkiewiczów, prostej kobiecie, która wychowała 6 dzieci w poszanowaniu pracy, godności człowieka i w miłości do ojczystej kultury i tradycji.

Twórczość pisarki jest obecnie niemalże zapomniana. Jej utwory literackie traktowane są jako przykłady do zilustrowania pewnych faktów z międzywojennego Wilna, z okresu gdańskiego są prawie nieznane. A są ważne, bowiem ilustrują sferę faktów i duchowych napięć ludzi wykorzenionych przez wojnę i powojenne czasy. Powieści dydaktyczne, obarczone piętnem epoki, powojnia, października 1956 roku, „małej stabilizacji”.

Maciej Żakiewicz

¹¹ Eugenia Masiejewska-Kobylińska *Córki chcą inaczej*, Gdynia 1966

¹² Eugenia Kochanowska, *Odeszli w Cień*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1981

¹³ Eugenia Masiejewska-Kobylińska *Kłopoty z prababką*, Gdańsk 1972

Czarne szpilki kreski

Z Zofią Litwinowicz-Krutnik rozmawia Wojciech Boros

Masz na swoim koncie liczne nagrody i wyróżnienia w konkursach poetyckich, a także publikacje w prasie literackiej. Liryką zajmujesz się już od dłuższego czasu – dlaczego zdecydowałaś się na tę formę opowieści o świecie?

Chyba zawsze myślałam poezją. Moja, czyjaś, żyła mnie i krążyła mi gdzieś we krwi, w głowie, w płucach i gromadziła się w cebulkach włosów. W epice nigdy nie podobało mi się to, że zbyt jednoznacznie nazywa rzeczywistość. Poezja zaś może pozwolić sobie na akumulację sugestii i niczego nigdy nie nazywać... (Nazywanie jest bardzo stresujące, bo skąd wiemy, że nazywamy poprawnie?) Do tego proza wydawała mi się przegadana (w szczególności powieść jako gatunek). Poezja to zaś maksimum przekazu w minimum formy, swego rodzaju minimalistyczne spiętrzenie znaczeń... (podpisuję się pod *Tablicą z Macondo* Barańczaka, który porównał przekaz wiersza do przekazu zindywidualizowanej tablicy rejestracyjnej...) Jest też, przynajmniej dla mnie, czulsza, mniej krzykliwa i bardziej osobista niż epika. Piszę z reguły na skrawkach serwetek, notuję wersy w głowie podczas podróży czy spacerów – są to bardziej chwilomyśli, kawałki mnie, które układają się później w wiersze...

Bydgoszcz, Paryż, Amsterdam, czasami Gdańsk, a i zapewne inne miejsca – czy Twoja poezja odczuwa wieczny przymus podróży?

Jestem chyba jak bieguni Tokarczuk – żyję prawdziwie jedynie w wietrze, w pędzie, na szlaku, jak dziki przemierzające las i zatrzymujące się tam, gdzie wyczują źródło. Morze, pola, rozwiane nadbrzeża Sekwany... Nieprzynależąca nigdzie i przynależąca wszędzie. Zawsze obca i zawsze u siebie. Czy jest to związane ze statusem wiecznego emigranta...? Być może. Czy tak bardzo się z nim zżyłam, że nie potrafię już inaczej? We francuskim istnieje piękne (i nieprzetłumaczalne) słowo „dépaysement”, oznaczające inspiracyjną dezorientację wynikającą ze zmiany otoczenia. Jest to swoista nieswojość, coś takiego, jak Freudowskie „Unheimliche”, coś jednocześnie znajomego i obcego, a przez to zarazem niepokojącego, dającego odpocząć i niezmiernie pociągającego. Myślę, że potrafię żyć w pełni tylko w „dépaysement”, i moja poezja także.

Teksty, które tworzysz, dobrze czują się w klasycznym obramowaniu, ale nie unikają też nowoczesnych narracji osadzonych w namacalnym tu i teraz – lubisz jak te



Zofia Litwinowicz-Krutnik | fot. archiwum autorki

przestrzenie są obok siebie, czy też ostatecznie woląabyś wybrać jedną z nich?

Wydaje mi się, że w mojej głowie (narzuca mi się francuskie słowo „esprit”, oznaczające ducha), te dwie przestrzenie nie tylko wzajemnie się przenikają, ale są współzależne, jak system naczyń połączonych – jeśli jedna zacznie zamierać, druga też przestanie funkcjonować, jak trzeba. Wydaje mi się, że jest to paradoks, który w sobie noszę – nie kryję się ze swoimi klasycznymi gustami, fascynacją XIX-wieczną poezją i sztuką średniowieczną, ale to nie kłóci się w jakikolwiek sposób z nowoczesnymi środkami wyrazu. Obrazowanie (*imaginaire*) i forma mogą być chyba bardzo różne i wzajemnie się uzupełniać... I przecież – nawet ze swoją klasyczną

wrażliwością – żyję w świecie, który po prostu jest, tu i teraz, i we mnie rezonuje.

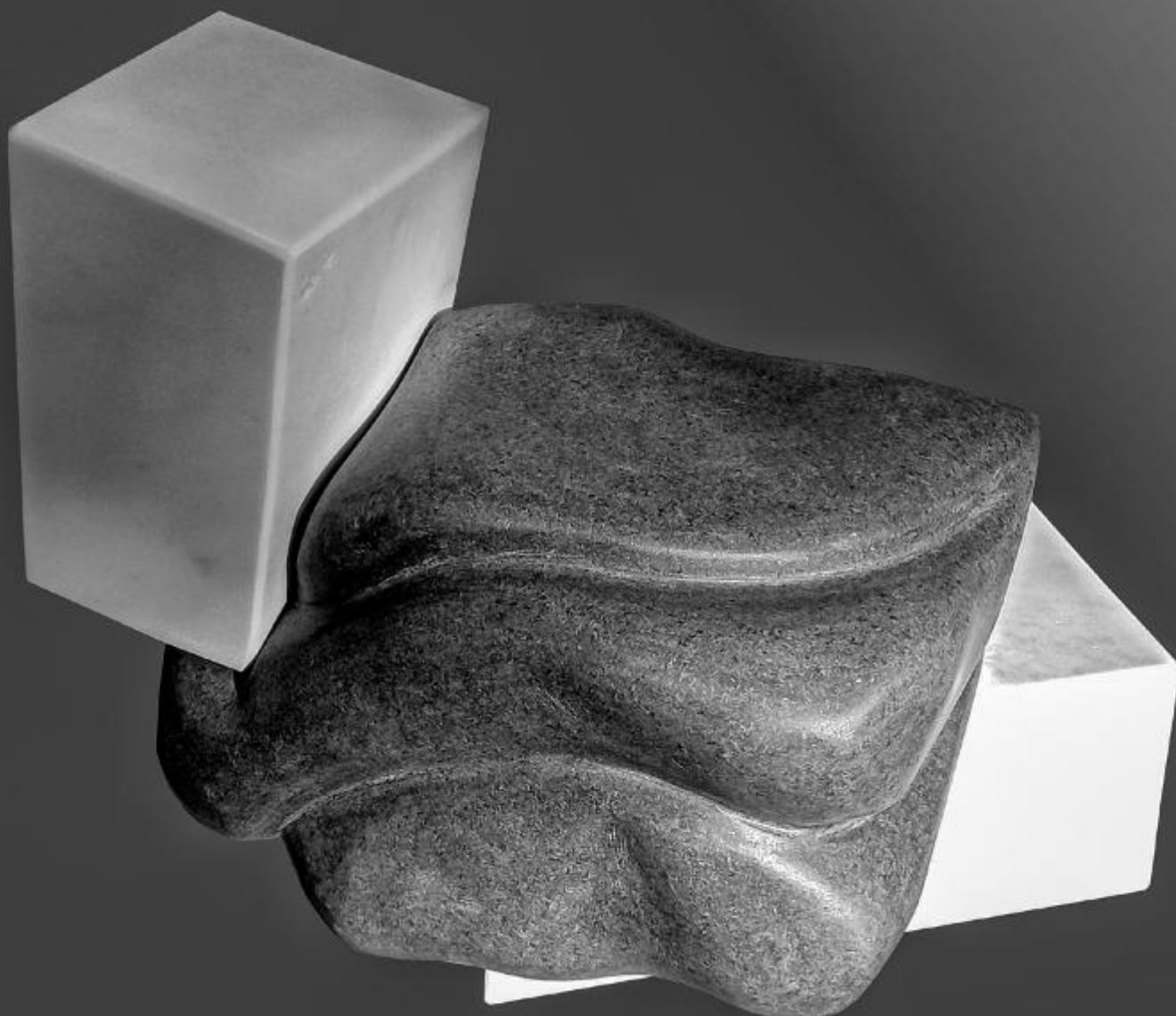
Oprócz tego, że sama piszesz wiersze, współtworzysz także Koło Poetyckie przy Uniwersytecie Gdańskim oraz byłaś związana z paryskim „Club des Poètes Jeana-Pierre’a Rosnay’a” – jak to jest działać w takich strukturach i czytać to, co piszą inni?

Do paryskiego Club des Poètes trafiłam na początku doktoratu, który robiłam na Sorbonie. Recytuje się tam z pamięci poezję klasyczną, współczesną, śpiewa, gra, można dzielić się własnymi wierszami. Stało się to dla mnie niemal od razu ogromnym źródłem inspiracji. Ucząc się wiersza na pamięć, sprawiamy, że towarzyszy nam on w codziennym życiu, gdy nie mamy pod ręką tekstu. Możemy go medytować prawie jak Pismo albo filozofię. W Gdańsku staram się to odtworzyć (mimo że nie zawsze recytujemy z pamięci!)

Czytamy poezję wszystkich epok i we wszystkich językach. Bez ograniczeń. W tym twórczość własną. Słuchanie innych to zawsze przyjemność odkrywania tego, co inne i nieznanne; swoiste spotkanie z nagą duszą Innego.

Swoje utwory piszesz w języku polskim, ale także i francuskim, co nie jest częstą sprawą – czy w obydwu udaje ci się oddać to, co chcesz zamknąć w poezji?

Intuicyjnie odpowiedziałabym, że poezję sensu stricto piszę głównie po polsku, a poezję prozą i miniatury poetyckie po francusku. Ale nie jest tak zawsze. De facto myślę, że poezja jest jak sny – czasami śni się po polsku, czasami po francusku. Wszystkie te sny gdzieś we mnie mieszkają, ale nie wiem, od czego zależy ich konkretna manifestacja. W każdym języku jesteśmy trochę inni, choć mimo wszystko ci sami. Można, dzięki temu, jak Pessoa, mieć wieleżyć.



Nic

nie wydarzyło się nic
i nic rozproszyło się mi między palcami
wcisnęło pod paznokcie pod powieki w kąci ust
sekundy przestały być sekundami nie były niczym po prostu
było szczekanie psów i nietknięty migdał spojrzenia
i ciało
istniejące tylko w czasie teraźniejszym

Zofia
Litwinowicz-
Krutnik

srebrne nogi Sekwany
niosą mnie do ciebie
na łodygach szarych jak światło

gubią czarne szpilki kreski
powiek czarne sploty

sploty warkoczy Sekwany
wracają do sedna snów

wypuszczają pąki
w Jardin des Plantes

oplatają listowiem Edenu
wieże katedry

biegną prosto na północ
za most Aleksandra III

mijają tłuste putta
i złotą kopułę cerkwi

biegną prosto
do twoich uszu

bolą mnie srebrne nogi Sekwany
one za sen mój chodzą
i już nie wiem
czy to one mnie niosą
czy coś innego

HEY SIRI

Hey Siri
chyba się zgubiłam

co mam zrobić Siri

nie mogę się znaleźć

chciałabym wrócić
słodkie owoce
kosztować zmysłem tylko jednym

znów kochać
po prostu jak przystało

a ja rozbiłam się jak szklanka mleka
jak łódź co rozsadza stoiki

pokruszyłam się i nie mogę się
pozbierać

Hey Siri
no słyszysz mnie czy jestem sama

i tylko pusta katedra z wyprutym wnętrzem
(wykonują na niej sekcję
jakby już umarła)
typie na mnie jak cyklop z wyrzutem
okrutnym okiem rozety

i wyciąga wieże jak nieludzkie ręce
modlą się
może też i za nas

WYWIESZKA NA DRZWIACH

Rzeczywistość interweniująca w sny
wchodzi, co wieczór, zaproszona,
do nieposprzątanego pokoju,
w którym brudna pościel
zachowuje zapach
dystopii

gdy wieczorami,
nie mogąc spotkać się za dnia,
w końcu możemy się dotknąć

na ekranach naszych twarzy, twoich oczu, moich piersi
a technologicznie internalizowana
miłość
konsumuje się
wyuczonymi słowami.

Rzeczywistość nieskręcająca,
wygodna, dobra i osobna
jak sprzątaczką, która omija nasz
postmodernistyczny burdel
obojętnie, bo z przyzwyczajenia:

osobne drogi, pokoje, miasta i kraje,
osobne walizki, samoloty, pociągi,
osobna kawa niepita rano z pośpiechu,
osobne braki czasu i nieprzespane noce,
osobne nieobecności i kochanie się zapamiętane
pod brutalną powieką
w zwojach pamięci bezpiecznych i osobnych.

Jedyne, co nasz łączy, kochanie,
to pokoje osobno nieposprzątane
z tego samego powodu,
przechowujące zapach mojej i twojej skóry,
twarde i słodkie wspomnienia
naszych osobnych przeżyć.

NIEUSTALENI SPRAWCY I OKNO KOLEGIATY

brzydki Chrystus ze Szczepieszyna
bez jednej ręki
i głową za dużą
jakby rozum ludzki boskich myśli nie ogarniał
zwiesił kanciaste ramiona

naprzeciwno
brzydki szatan z rogiem tylko jednym
i połową ogona
co zła stale pragnąc ciągle dobro czyni
Mefistofeles szlachetny
bo doświadczony przez życie

wzrok Chrystusa fraszobliwy
spotyka się z okiem diabła

i tak
schowani za dzwonem Marią
o największym sercu w Lublinie
smutny szatan i romański bóg
przykurzeni i jednoręcy
przeżywają siebie

zastanawiając się
(już od jakiegoś czasu)
kiedy wyskoczyć przez okno

wczoraj o drugiej w nocy
dziwaczny splątany kształt
(pokraczny twór w stylu co najmniej
hinduistycznym)
spadł na bruk pod wieżą

*już drugi raz to zrobili
aż dziwne, że po tylu latach
usłyszymy od popijających
poranną kawę
przy „Kurierze Szczepieszynskim”*

w którym krótka notatka
między prognozą pogody a nekrologami:
*dwóch nieustalonych sprawców
wyskoczyło przez okno kolegiaty*

JAJKO

wśród płynności istnienia
zadaję sobie pytanie, co jest

co jest tak po prostu
bez względu na naczynie,

i dlaczego pośrodku głowy
rośnie mi las,
a w nim ogród

i wszystkie kwiaty
barwią czerwonością moje wargi,
z których spływa krew,

gdy oblizuję ostrze noża
niczym biblijna Salome
zakuta w gorsety

jeden, drugi, trzeci

wołają mnie po imieniu,
Zofia, Zofia

i gorąco uderza mnie w policzki,

bo w imieniu moim ukryta jestem ja,
gdzieś w głębi

i prawda już nie tłucze się w kieliszku,
ale rozlewa jak jajko -
jedno z tych,
które zbieram w kurnikach
zaśmiecających mi głowę

piękne, lśniące,
o kształcie naczynia,
które wybiorę

złożonego z krzyku,
ze skrzepu krwi
i z echa mojego imienia

połknęłam je i co dalej?
czy wypełni mnie jak krew, jak gorąco?

nie wiem,
zachodzę w głowę,
żeby wiedzieć,

i nigdy wiedzieć nie będę,
gdyż jest to wiedza tajemna
niczym zasłona przybytku
a zarazem pospolita jak psie gówno.

jedyne, co mnie ratuje, to myśl następująca:

ten sam komponent zapachowy
łączy kadziło, benzoinę i tajno,
a różnica pomiędzy nimi jest niewielka
i zależy od naczynia.

ale moje właśnie się stłukło,
rozsypało po kątach
i teraz tnę mi ostrzem skórę,

do krwi,
do granicy bólu,
do granicy istnienia

Zofia
Litwinowicz-
Krutnik

Portugalskiej markizy przepustka do historii

Jak fortepian Liszta torował drogę

Matce Boskiej Fatimskiej

Adam Grzybowski

Fortepian. „Król instrumentów”. Strunowy, z którego za naciśnięciem klawisza i pośrednictwem młoteczka wydobywa się dźwięk. Przy odrobinie wysiłku – muzyka. To przy nim zasiadają legendy i duchy legend. Nic więc dziwnego, że niejeden fortepian odegrał znaczącą rolę w historycznych, a nawet politycznych zawirowaniach. Chociażby ten, który trafił jak ten erard, który trafił do kolekcji Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina w Warszawie. Opisany został jako „dar Olgi Alvares Pereira de Melo, markizy de Cadaval z Portugalii w 1960 roku.

Instrument zbudowano w 1854 r. w renomowanej firmie. Należał do światowej czołówki ze względu na walory i cenę¹. Z Paryża trafił do pałacyku w Pau należącym do sędziego Bertranda d'Artigaux i jego żony – Caroliny de Saint-Cricq, uczennicy i wczesnej miłości Franciszka Liszta. W 1879 roku wraz z posiadłością instrument przejęła rodzina markiza Cadavala, a gdy sytuacja polityczna umożliwiła im powrót do Portugalii – znalazł się w Sintrze.

W latach 60. XX wieku erard Cadavalów przedstawiał więc głównie wartość pamiątkową. Markiza wpięć ofiarowała instrument swemu przyjacielowi Arturowi Rubinsteinowi. On z kolei zasugerował, by przekazać go Towarzystwu im. Fryderyka Chopina (TiFC)².

Marszruta niezwyklej przesyłki wiodła na wschód określną drogą: wpięć z Francji do Portugalii, a następnie przez Wielką Brytanię do Polski. Gdy dotarła do Warszawy nie był to już instrument koncertowy. Nie można go było użyć – kować zarówno z powodu braku fachowców-konserwato-



Fortepian firmy Erard z 1854 roku, obecnie własność Towarzystwa im. Fryderyka Chopina w Warszawie, dar Olgi de Cadaval

rów, jak i pianistów grywających na zabytkowych instrumentach, nie nastąpiła jeszcze moda na ten typ wykonań (I Międzynarodowy Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych odbył się dopiero w 2018 roku), a wreszcie fortepian – w odróżnieniu od instrumentów smyczkowych – względnie szybko i niepowabnie się starzeje. O wyjątkowej wartości „fortepianu Liszta”³ decydowały więc czas,

¹ <http://erard.klaviano.info/pl/> pobrano 26 VII 2019 r. Prof. Benjamin Vogel, odnalazł w archiwach Erarda dokładną datę produkcji – listopad 1854. Pierwszego nabywca M. Guntzberger, zam. 27 Rue de la Tour d'Auvergne w Paryżu zapłacił 25 II 1855 r. łącznie 2200 franków. (Korespondencja autora z 30 VII 2019 r.).

² Rękopis listu prof. Henryka Sztompki do dyrektora TiFC na temat okoliczności przekazania instrumentu zawiera informację, że pierwotnie adresatem darowizny miał być Artur Rubinstein: „[...] dar p. Cadaval, a jak się okazało właściwie Artura Rubinsteina, który powiedział mi ostatnio w Polsce, że ona ofiarowała jemu, a on jej zasugerował, aby dała nam. Otóż fortepian ten jest już w Gdyni, u Hartwiga, adresowany jak się okazuje imiennie na mnie, ale do TiFC. Uprzejmie więc proszę, aby Pan Dyrektor zechciał łaskawie objąć sprawę w swoje ręce. O miejscu dla niego niech decyduje Zarząd. Kraków, 13 V 1960 r.”). Inf. op.cit. Grażyna Michniewicz.

³ Na którym wszakże Liszt nigdy nie koncertował. Informacja o fortepianie Erarda w Pau oraz to, że grał na nim Liszt podaje wiele źródeł. Wszystkie są zgodne, że wystąpił z recitalem w Salle de Spectacle, korzystając z Errarda wypożyczonego



Pierwszy z prawej Miłosz Magin, pośrodku w głębi markiza Olga de Cadaval goszcząca w Portugalii rodzinę Maginów; Lizbona 1960 | fot. archiwum rodzinne Małgorzaty Magin

związane z nim osoby i kontekst polityczny. Przecież nie utrzymywano stosunków dyplomatycznych między Polską a Portugalią odgradzonymi bardzo ściśle zaciągniętą „żelazną kurtyną”. Pierwszym wyłomem przy tej sprawie był więc wniosek o przyznanie markizie honorowego członkostwa TiFC⁴.

Donatorka przez długie lata nie spuszczała oka z instrumentu i jeszcze pod koniec lat 80. interesowała się jego losem, o czym świadczy list TiFC (z 26 stycznia 1987 roku) informujący ją o ekspozycji fortepianu.

NA PARNASIE

Olga da Cadaval była osobą przebojową. Przez dziesięciolecia wywierała wpływ na działalność muzyczną nie tylko w Portugalii, ale i w Europie. Pomagały jej rozległe znajomości. Zawsze też znajdowała powód, by wspierać wybitnych artystów oraz krzewić wiedzę o muzykach i mu-

zyce. (Wśród jej podopiecznych od jesieni 1958 do wiosny 1960 znajdował się między innymi wybitny polski pianista i kompozytor Miłosz Magin oraz jego rodzina⁵).

Nic też dziwnego, że wiosną 1960 roku była pierwszą od lat znaczącą osobistością portugalską, zaproszoną do Warszawy⁶. Przyleciała na VI Międzynarodowy Konkurs Chopinowski, odbywający się w dniach 22 lutego – 12 marca. Była to sposobność, by spotkać starych znajomych, nawiązać nowe kontakty i poszukać młodych talentów.

„Konkurs szczególnie uroczysty, bo w 150. rocznicę urodzin Chopina. Nieprawdopodobna gala”⁷ – pisał Jerzy Waldorff. „Rząd nasz zdecydował się przyjąć, nie mniej ni więcej jako honorowych gości: księcia Eugene Jose de Bourbon-Baviere, markizę Olgę de Cadaval oraz markiza Armanda de Gontaut Biron, co dało blask niestychany. Szczególna atmosfera VI Konkursu Chopinowskiego udzieliła się nawet członkom Komitetu Centralnego PZPR, którzy zaczęli szukać wśród swoich przodków... baronów”. Tworzono „nową świecką tradycję”. Wszak honorowym

na tę okazję od Madame d'Artigaux 8 października 1844 r., ale instrument, o którym tu mowa zbudowano znacznie później. W porozumieniu z prof. B. Voglem przyjmuję zatem, że znajdujący się w Warszawie instrument był rzeczywiście fortepianem Caroliny de Saint-Circq Dartigaux (1810-1872) uczennicy i wczesnej miłości Liszta, ale wielki wirtuoz na nim nie grał.

⁴ Uchwała Zarządu TiFC z dnia 20 grudnia 1957 roku, ust. 7: „Podziękować p. de Cadaval za dar w postaci fortepianu Franciszka Liszta oraz wystąpić na Walne Zgromadzenie z prośbą o zatwierdzenie członkostwa honorowego p. de Cadaval”.

⁵ Zob. K. Juszyńska. Miłosz Magin. Pianista, kompozytor, pedagog. Warszawa 2019.

⁶ Markiza do Cadaval była córką Edmondo Nicolisa, hrabiego Robilant i Ceraglio oraz Valentiny, hrabiny Mocenigo – potomków Fryderyka II i Katarzyny Wielkiej. Enciclopédia da Música em Portugal no Século XX. Tom I Część A-C, Lisboa 2010, s. 201.

⁷ Jerzy Waldorff właśc. Jerzy Waldorff-Preys (1910–1999) – polski pisarz, publicysta, krytyk muzyczny i działacz społeczny.



Przywieziona z Portugalii figura Matki Boskiej Fatimskiej, obecnie w kościele Matki Boskiej Różańcowej na Nowym Bródnie w Warszawie

gościem poprzedniej edycji konkursu była belgijska królowa Elżbieta⁸.

Olga da Cadaval i kilkoro innych zagranicznych gości Konkursu z pobytem w Warszawie, wiązały także plany nie do końca związane z muzyką Chopina i międzynarodową pianistką, a mianowicie odwiedziny na Miodowej⁹.

W poniedziałek 2 marca o godz. 17 była ostatnim tego dnia gościem ks. Prymasa. Pojawiła się z niezwyklejmi prezentami – darami od biskupa Leiri. Były to, ukryte w jej bagażach, dwie kopie Figury Matki Boskiej Fatimskiej¹⁰.

Nie wiadomo jakie okoliczności towarzyszyły narodzeniu się pomysłowi, by wysłać figury do Polski ani jak zorganizowano audiencję markizy u Księdza Prymasa. Na to pytanie nie odpowiadają *Pro Memoria* – jedyne źródło, w którym mogła być informacja na ten temat. Prymas nie zwykł również pisać więcej o okolicznościach spotkań ponad to, co zamieszczał w swych zapiskach, a Sekretariat Prymasa nie prowadził księgi spotkań¹¹. W każdym razie nie ma jej

w archiwach archidiecezjalnych w Gnieźnie i w Warszawie. Uprzedzony o zamiarach Olgi da Cadaval premier Antonio Salazar, wyrażając zgodę na jej wyjazd za „żelazną kurtynę” po ojcowsku przestrzegając:

– Jak Cię na tym przemycie przytapią, Droga Markizo – to Ci nie popuszczą i nie pomogą żadne zastugi, ani interwencje¹².
– Spokojna głowa, Panie Doktorze – odpowiedziała. – Dam sobie radę. Tylko proszę polecić, by mi wydano wizę wyjazdową z Portugalii. (...)

Lotnisko w Warszawie wspominała ciepło. Funkcjonariusze w rączkę ją pocałowali, życząc szczęśliwego i udanego pobytu w Polsce¹³.

Kardynał Wyszyński odnotował wizytę Markizy następująco: „Marchesa Olga Cadaval z Portugalii, biorąca udział w Festiwalu Chopinowskim.(...) Jest pełna żywej wiary i ufności”. „Gdy wyjeżdżała z Leiria, biskup miejscowy¹⁴ obdarzył ją dwoma posągami Matki Bożej Fatimskiej, które przywiozła samolotem”. Natychmiast też zadysponował: „Jeden dla bp. Stanisława Czajki¹⁵, biskupa pomocniczego częstochowskiego druga dla mnie”. Ponoć bp João Pereira Venâncio, O.R.C. chciał, aby – jak czyniła to słynna Pielgrzymująca Figura z Fatimy – jedna z tych figur wędrowała po Polsce, nie mając prawa wjazdu do PRL. Nie byłoby to jednak po myśli kardynała. Nasilające się z miesiąca na miesiąc utarczki z władzami przysparzała już peregrynacja obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.

O przeznaczonej dla siebie figurze napisał więc Prymas: „Ksiądz Zimiński otrzymuje posąg Matki Bożej Fatimskiej dla kościoła Matki Bożej Różańcowej”. O tej decyzji poinformował także biskupa João Pereiry Venâncio. Jednak ostatecznie, na Bródnie znalazła się inna Madonna.

Z drugą figurą postąpił też inaczej, niż pierwotnie zamierzał, czyli w tak szczególny sposób zamierzał uhonorować uwielbienie i kult, jakim bp. Czajka darzył Matkę Boską Fatimską. (Nawet spotkali się 14 sierpnia w kościele św. Zygmunta, gdzie Prymas przyjmował pielgrzymkę warszawską). Prezent z Portugalii pozostawał więc w prymasowskich rękach, dopóki nie wyprosił figurki ks. Stanisław Czapla, rektor Domu na Krzeptówkach. We wspomnieniach zapisał, że „Matce Bożej na pewno było za ciasno i samotnie, chociaż w prymasowskiej kaplicy”¹⁶.

Rankiem 26 października 1961 roku podczas półgodziny audyencji dziękczynnej u kardynała usłyszał więc, że skoro od wschodu broni Polski posąg Matki Boskiej

¹² Wypowiedź Bogusława Zakrzewskiego, ambasadora w Portugalii w latach 1983–1986 dla autora, opublikowana w miesięczniku BIG Banku Gdańskiego MONITOR nr 8 (96) 2001.

¹³ Rozmowa z B. Zakrzewskim 26 VII 2019 r.

¹⁴ João Pereira Venâncio (1904–1985). Biskup pomocniczy diecezji Leiria 1954–1958, biskup diecezjalny Leirii 1958–1972.

¹⁵ Ks. Stanisław Czajka (1897–1965), biskup pomocniczy częstochowski w latach 1944–1965.

¹⁶ J. Wieliczka–Szarkowa, *Ukryte nawiedzenie*. Nasz Dziennik, 12 X 2013.

⁸ A. Romaniuk. *Inne Życie*, t. 2, Warszawa 2017 4., s. 321.

⁹ Stefan Wyszyński, *Pro memoria*, t. 7: 1960, red. Rafał Łatka, Warszawa 2018, s. 71–72.

¹⁰ Figury Matki Boskiej fatimskiej, według amb. B. Zakrzewskiego, miały trafić do Klasztoru na jasną Górę.

¹¹ Dr Rafał Łatka, Biuro Badań Historycznych Instytut Pamięci Narodowej w korespondencji z Autorem. Email z 19 VIII 2019 r.



Przywieziona z Portugalii figura Matki Boskiej Fatimskiej, obecnie w Sanktuarium Narodowym Matki Bożej Fatimskiej, Zakopane-Krzepiówki | fot. Z. Miodowski

Fatimskiej w kościele Matki Boskiej Różańcowej na Nowym Bródnie i drugi w kaplicy seminarium metropolitalnego na Bielanych – jedną z figur od portugalskiej Ligi Katolickiej – przekazuje Palotynom na Krzepiówki, aby broniła Polski od południa.

Na moment uroczystego ingresu tej figury ks. Czapla wybrał się w niedzielę 15 X 1961. Uroczystościom zakopiańskim przewodniczył bp sufragan krakowski Karol Wojtyła – poświęcił tę figurę i kaplice różańcowe w przykościelnym parku fatimskim.

Ksiądz Prymas wołał, by nie doszło do pielgrzymowania posagu Matki Boskiej przywiezionego przez markizę. Jednak już pod koniec 1961 roku rektor kaplicy fatimskiej w Zakopanem zorganizował grupę misyjną i księża palotyni rozpoczęli wielką kampanię ukrytą pod hasłem rekolekcji różańcowych. Na początek – w pobliskich pa-

rafiach. Z czasem obejmowały one Częstochowę (Dolina Miłosierdzia), Chełmno (parafia św. Józefa), Warszawę (parafia Niepokalanego Serca Maryi), Gdańsk (kościół pallotynów we Wrzeszczu), Będzin, Poznań (księża pallotyni), Witów k. Zakopanego. Następnie zorganizowano rekolekcje różańca rodzinnego w diecezji tarnowskiej i sandomierskiej. „Fatimscy rekolekcjoniści przemieszczali się od parafii do parafii każdym możliwym środkiem transportu. Niekiedy był to zatłoczony autobus, innym razem przygodna furmanka, czasem szło się pieszo. Cudowna figura Matki Bożej Fatimskiej była noszona w drewnianej skrzyni z uchwytami. Przez pewien czas wożono ją motocyklem, w przyczepie obok kierowcy. Po trzech latach udało się kupić starego „garbusa” i od tego czasu figura – już nie narażona na deszcze i śniegi – otrzymała dach nad głową”. Z czasem zaś, permanentna formacja duszpasterska, objęły niemal wszystkie diecezje Polski. Przy siedzibie pallotynów powstało zaś Sanktuarium Fatimskie, a Figurę Matki Boskiej Fatimskiej ukoronował Jan Paweł II w 1987 roku w Rzymie¹⁷.

Na to, by kolejna figura z Fatimy dotarła – także nieoficjalnie – do Polski czekano aż do 1978 roku¹⁸. Obawy i przestrogi Salazara wciąż były aktualne i nie pozbawione podstaw. Władze komunistyczne odmówiły zgody na to, by kopia figury fatimskiej mogła oficjalnie odbyć pielgrzymkę po Polsce. Gdy na Okęciu wylądował samolot specjalny, którym ją przewożono, władze nie zezwoliły, by opuściła maszynę. Musiało minąć blisko ćwierć wieku, by przypomniano o zasługach markizy dla Polski i Polaków. Skorzystano z tego, że na kwiecień 1984 roku zaplanowano w Polsce uroczyste obchody 50-lecia Towarzystwa im. Fryderyka Chopina. Z inicjatywy ambasadora Bogusława Zakrzewskiego podjęto decyzję, że markiza zostanie honorowym gościem jubileuszu. Uruchomiono lawinę działań na najwyższych szczeblach resortu kultury. Stwierdzono, że markizie należy się coś więcej, niż tylko gest wdzięczności za podarowany w 1960 roku fortepian.

Czterdzieści lat później o związkach bohaterki tej historii z Polską i Polakami mało kto pamięta, zarówno u nas, jak i w Portugalii. Wnuczka Markizy nie wykazała zainteresowania tematem. Na opracowania czekają źródła kościelne w Fatimie i w Leirii.

Adam Grzybowski

Dla płynności czytania redakcja ograniczyła liczbę i objętość przypisów. Ich pełnowymiarowa obecność świadczy, że wszystkie przedstawione tu fakty są udokumentowane źródłowo. (red.)

¹⁷ Zob. P. Motyka, Krzepiówki – polska Fatima. Autoryzowany wywiad z ks. Krzysztofem Czapłą, dyrektorem Sekretariatu Fatimskiego, dla Beskidzkiego Towarzystwa Oświatowego, Milówka RP 2017.

¹⁸ (Niezwykła) figura Matki Bożej Fatimskiej w Niepokalanowie. *Wiadomości z Prowincji*, nr 3 (187) 1997, s. 64.

Nie ma widać

Wojśław Brydak

Czytam, że Ukraińcy (dziennikarz nie pisze konkretnie którzy) nie pragną oglądać filmu *Wołyń* Smarzowskiego, bo byłby Ukraińcom nie w smak, zwłaszcza teraz, podczas wojny. Podtekst wiadomości jest taki, że jednak ci Ukraińcy to wredne plemię.

Komentarze trafiają się rozmaite, bardziej zjadliwe lub mniej, ale mało komu chodzi po głowie pewien przypadek polski.

Przejmująca sztuka *Do piachu* Tadeusza Różewicza opowiada o polskiej partyzantce podczas II wojny światowej, a w szczególności o wiejskim chłopaku, który niewiele widział, niewiele wie, a już zwłaszcza słabo pojmuje dlaczego swoi go rozstrzelują. Losy tej sztuki, pisanej przez byłego partyzanta w latach 1957–1972, podważającej wszelkie mitologie, zarówno akowską jak i antyakowską, były takie, że cenzura zakneblowała tekst na 7 lat. Dopiero w 1979 roku sztukę wydrukował „Dialog”, a wystawił (zapewne korzystając ze swej pozycji politycznej) Tadeusz Łomnicki. Jak poszło? Lepiej nie mówić. Protestom i bogoojczyźnianej wrzawie nie było końca, raban ogólnopolski. W końcu sztukę wycofano z festiwalu dramaturgii współczesnej, a wkrótce sam Różewicz poprosił o zdjęcie utworu z afisza. Tak to wyglądało za komuny.

W roku 1990, już za antykomuny, Kazimierz Kutz, wówczas dyrektor artystyczny krakowskiego ośrodka telewizyjnego, przygotował nowe i rewelacyjne przedstawienie *Do piachu*. W obsadzie znakomitości: Nowicki, Trela, ale zwłaszcza mało wówczas znany Piotr Cyrwus jako nieszczęsny Waluś. Przedstawienie zaliczono do złotej setki polskiego teatru telewizyjnego. Przedtem jednak Kutza wyrzucono z funkcji dyrektora krakowskiego oddziału TVP3, na tle „braku patriotyzmu i niszczenia narodowych wartości”.

Mówiąc krótko: dziś Ukraińcom nie podoba się, że Polacy oferują im film z niemiłym dla Ukraińców kawałkiem prawdy o polsko-ukraińskich losach. I co? Skandal, Ukraińcy odwracają głowy!

A co się dzieje, kiedy to Polacy podsuwają Polakom niemiły dla Polaków kawałek prawdy o losach polsko-polskich? No właśnie! Taki sam skandal! Ci cholerni Polacy też odwracają głowy! I drą się w niebogłosy, że oto niszczy się narodowe wartości.

Myślałem, że w mediach ktoś potrąci ten dziwny wątek, ale w mediach górują tasiemcowe rozważania, kto kiedy i dlaczego uniósł prawą brew, kto i dlaczego uniósł lewą, kto kogo puścił przodem w drzwiach, ewentualnie kto się rozwodzi. Albo ile zarabia.

Może dlatego przed rokiem pewna ciekawostka nie doczekała się obecności medialnej, chociaż wątek był gorący:

doktor Nawrocki starał się o wybór na prezydenta kraju. Doktor, jak to doktor, napisał książkę. Dzieło traktuje o karierze pewnego bezecnika, którego życie przerwała kula pistoletowa w gdyńskim lokalu Las Vegas, i to podczas spokojnie spożywanego śniadania. Pan Skotarczak, bo o nim tu mowa, postać barwna i szeroko znana, przypominał poniekąd Robin Hooda, aczkolwiek obaj wojownicy różnili się o tyle, że zabierali wprawdzie bogatym, ale już przy rozdawaniu ubogim widać rozbieżności.

Doktor Nawrocki wydał swą książkę pod pseudonimem Tadeusz Batyr, jakby szlachetny fach pisarski kolidował z przyszłymi ambicjami prezesa Narodowej Księgi Umarłych. Mało tego, doktor Nawrocki publicznie zachwalał autora Tadeusza Batyrę, przemilczając jednak, że jeden i drugi to ten sam gość.

Kiedy ruszył prezydencki wyścig, media rzuciły się na Nawrockiego – zresztą byłego kibola, byłego ochroniarza, kombinatora mieszkaniowego, przewodnika w labiryncie panierek – także z powodu tej książki. Wykpiwano zakamuflowaną autopromocję, a także sięganie po pseudonim, jakby w naszej literaturze nie funkcjonował Bolesław Prus, w angielskiej Joseph Conrad, w amerykańskiej Mark Twain, we francuskiej wspaniały Romain Gary (z Wilna). To mnie zaskoczyło, nie ukrywam. Bo co innego charakter warcholsko-kibolski, a co innego zwykłe sportretowanie gangstera. Czego się czepiać? Temat wdzięczny. W odmalowaniu Skotarczaka nie ma zdrożności, na żenującą autopromocję wypada machnąć ręką – na rynku książki nie takie rzeczy się dzieją. Natomiast ci mistrzowie kpiny, którzy pilnują skąd wiatr wieje, przeoczyli co innego – sam pseudonim. Bo Nawrocki to nie pierwszy Batyr, o którym w Polsce słyszano.

Jan Prosper Witkiewicz – przodek „tych” Witkiewiczów, czyli Stanisława oraz Stanisława Ignacego – doczekał się jako licealista wyroku śmierci za narodowe konspirowanie. W 1824 roku car Aleksander zamienił wyrok na służbę wojskową na wschodnich krańcach imperium. Okazało się, że bajecznie utalentowany chłopak mimo wszystko awansował w tej służbie, a dzięki łutowi szczęścia i syberyjskiemu spotkaniu z niemiecką sławą naukową, Aleksandrem Humboldtem, stał się kimś rozpoznawalnym w odległej stolicy. Znał już wówczas kilkanaście języków i szybko zdobył uznanie jako agent carski oraz licząca się postać w długim sporze Rosji z Brytyjczykami o Azję, ściślej o Afganistan. To właśnie był „Batyr”. Harnaś spod Hindukuszu. W przebraniu buszował po Bucharze, Kabulu, Kandaharze, po zakończonych misjach był uważnie słuchany w Petersburgu. Gdzie w wieku 31 lat, w jego własnym mieszkaniu, zastrzelili go

nieznani sprawcy. Podobno Brytyjczycy. Ale może Rosjanie. Diabli wiedzą. Kręgi rodzinne utrzymywały, że wszystko co robił było wallenrodczym kopaniem dołków pod Rosją. Czego kręgi nierodzinne nie potwierdzały. Tak czy inaczej, postać niebanalna, niejednoznaczna, barwna, tragiczna i z pewnością za duża jak na historyczne czytanki dla klas młodszych. Batyr trafił na karty paru powieści, i rosyjskich, i polskich, ba, nawet na ekran. I teraz pytanie: co doktor Nawrocki chciał powiedzieć czytelnikom tym swoim pseudonimem?

Może nic. Nie wiadomo. Ciekawych zabrakło.

Na koniec o ostatnim (lipiec 2026) wzmożeniu medialnym. Anteny, ekrany, a także łamy gazet papierowych okupuje nowy warszawski szpital, czyli patoszpital, ponadto lekarze, bo wykorzystują dziury w systemie, a przez te dziury rwą nieludzką kasę, jest wreszcie milionowa kolejka pacjentów, czyli my, niebożęta, konający w poczekalni – i tak dalej w ten deseń.

Tak jednak się składa, że w pewnym wieku – jak w przypadku autora tych słów – większość przyjaciół i znajomych często kontaktuje się z lekarzami. To głównie kardiolodzy, onkolodzy, ortopedzi, innych dziedzin też nie brak, normalna, żadna krajowa czołówka. I co ciekawe: na temat tych lekarzy często słyszę słowa ciepłe, że kompetentni, empatyczni, uważni, skuteczni. Mało tego: potem słyszę pochwały nawet nie ludzi, ale i systemu – tak jest! – wreszcie samej nauki. „Nie ma porównania z tym co dziesięć lat temu, a już nie mówię, że trzydzieści. A sprzęt! A leki! A jak

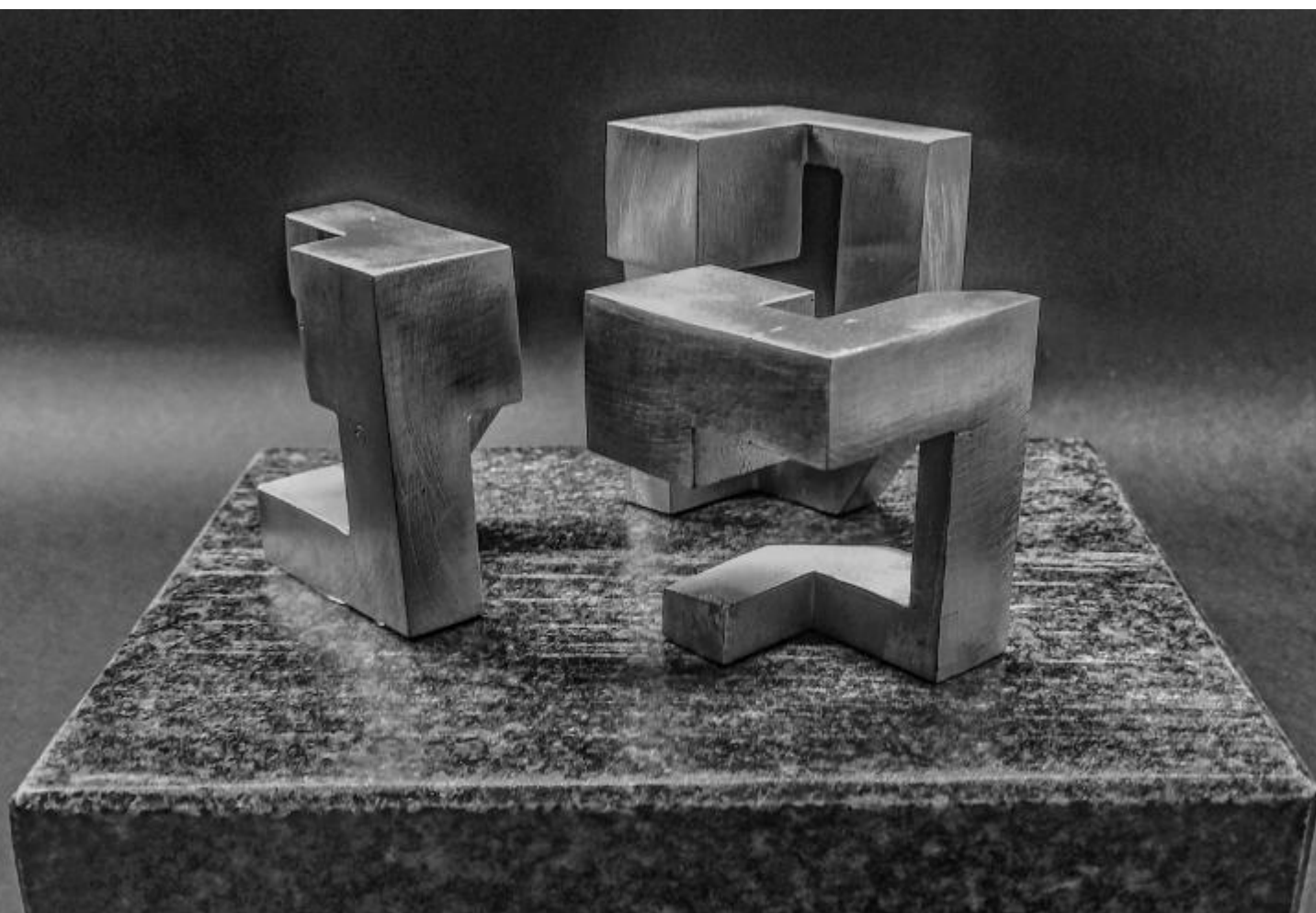
się przeciętnie wydłużyło życie! I sprawność!” I tak dalej. Dodajmy programy DILO i KOS, które pacjentów onkologii i kardiologii lokują na swego rodzaju „taśmie” i radykalnie podnoszą jakość leczenia oraz stan ducha pacjentów. Na koniec dodajmy głosy przybyszów, nie do wiary, z różnych Ameryk i Wielkich Brytanii – „u nas z mojego ubezpieczenia ja bym nie miał/nie miała aż takich możliwości”. Oczywiście, nie neguję skali draństw w szpitalu warszawskim czy niewarszawskim, patologicznej chciwości jakichś lekarzy, ani godzin strawionych w poczekalniach, nie neguję całych miesięcy dzielących pacjenta od badania, to wszystko prawda. Jeżeli jednak dziś czytam, że w Polsce służba zdrowia to jakaś totalna katastrofa, przypomina mi się telewizyjny kadr sprzed lat kilkunastu.

Wpierw tło: koparka, betonowe konstrukcje, no bo autostrada w budowie. Z przodu zażywna dama z broszką. Co robi? Głosikiem splekanego dziewczątka lamentuje: „Polska w ruinie!” W tym kadrze czasami zamiast damy wyrasta gnom z wydatnym brzuchem, odziany w jednorzędowy nienajlepszy garnitur. Lamentuje słowo w słowo tak samo. Pewnego razu w kartuskim sklepie patrzyłem na ten obrazek, bo wisi telewizor, a jakże; obok mnie zadbana, niemłoda Kaszubka też patrzy; milczy przez chwilę a potem kręci głową zniechęcona i wreszcie wykrzykuje na głos:

– Że co? W ruinie? Nie ma widać!

Zdarza się czasem, że ludzie dowierzają własnym oczom.

Wojław Brydak



Wchodzić bez pukania

Wojciech Fułek

Trudno uwierzyć, że od debiutu poetyckiego Tadeusza Dąbrowskiego (*Wypieki*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, 1999) minęło już 27 lat! W międzyczasie weszło w dorosłość jedno pokolenie, zaczęły swoje życie kolejne, a ja dziś zadaję AI pytanie (bo przecież socjologicznych czy naukowych badań w tak nieistotnej dla rozpolitykowanego społeczeństwa sprawie nikt przecież nie będzie prowadził), kto jest dziś czytelnikiem poezji. I czego się możemy dowiedzieć?

Są to „głównie nieliczni miłośnicy literatury, pracownicy akademicki, a także osoby szukające ukojenia i wsparcia emocjonalnego”. Co ciekawe, identyczną treść pytania zadałem AI kilka razy w różnych odstępach czasowych i uzyskiwałem za każdym razem różne warianty – na pozór tej samej – odpowiedzi. W kolejnej z nich okazało się na przykład, że wiersze czyta również „młodzież (w ramach edukacji) oraz osoby poszukujące wrażliwości w sieci”. Niech AI sama zmagą się jednak dalej z problemem współczesnych czytelników poezji, a my zajmijmy się poetą dojrzałym, który jest jak dobre wino. Z każdym kolejnym rokiem i każdą kolejną książką jego twórczość zyskuje bowiem na smaku, wartości, głębi i wielowymiarowości. Nic więc dziwnego, że wiersze Dąbrowskiego są tłumaczone na tak wiele języków, drukowane w prestiżowych periodykach i doskonale odbierane w wielu krajach.

Puk to tomik dość ascetyczny (bez ilustracji, wstępu czy postowia, choć należy zauważyć świetną okładkę Jakuba Zasady, nawiązującą do najlepszych tradycji graficznych PIW-u), w którym – nie będę odkrywcy – najważniejsze jest poetyckie słowo. Autor nie rozprasza nawet naszej uwagi dzieląc swoją książkę na rozdziały czy opatrując ją śródtytułami. Za to dzieli się z nami szczerze najnowszymi wierszami, które są tak różnorodne, jak... życie. Rozpoczynająca tę czytelniczą podróż (także w czasie) *Komunia* to – zdaję sobie sprawę, że to jednak dość ryzykowne porównanie – liryczna wersja pamiętnej *Naszej klasy* Jacka Kaczmarskiego, z zupełnie odmienną puentą. Ostrzegam jednak wszystkich potencjalnych czytelników (nieistotne do jakiej grupy zakwalifikuje ich AI) liczących na lekturę „lekką, łatwą i przyjemną”. Bo poeta może zaskoczyć na przykład „skacząc na bungee języka w przepaść”, żeby „zrównać niebo z ziemią”, co w konsekwencji pozbawia nas/was/jego jakiegokolwiek wyboru, bo wtedy „nie ma dokąd pójść”. Jego życie – podobnie jak każdego z nas/was „kończyło się wiele razy”, bo „granica pomiędzy człowiekiem godziwym a szmatą jest cienka jak włos”. Czy „poeta jest zbędny” – zadaje pytanie Dąbrowski, dość prze-

wrotnie – ale w swoim najlepszym stylu – kończąc ten tekst frazą „poeta jest”. Jest chłopcem, dziewczyną, mężczyzną, kobietą, starcem; jest aktorem/aktorką, jest człowiekiem, jest tym, który „wymyśla wszystko, żeby nakarmić poezję”. Bo poezja to wiecznie nienasycony potwór z dziecięcych baśni, pochłaniający słowa, zdania, opowieści, historie i ludzi. Lektura wierszy Tadeusza Dąbrowskiego jest wymagająca, bo tak chce sam autor. Na takiego czytelnika też liczy: uważnego, wrażliwego, wnikliwego, cierpliwego, aktywnego i łapiącego za nitki słowa, aby stworzyć z nich własny wiersz. „Są teksty, które wystarczy/ wywrócić na drugą stronę, by stały się uczciwe./ Lecz przeważnie lektura wymaga mozolnej pracy (...) Zdarza się, że oddzielona od kłamstwa/ prawda krwawi długo,/ a potem umiera.” (*Wqż*)

Poeta już jest świadomy, że „większą radość czerpie z przemilczeń niż zwierzeń” i strofuje swojego wiernego czytelnika: „przestań czekać,/ niech wieczność przez ciebie przecieka,/ jak kamień albo jak tła”. I wie, że jego czas – podobnie jak każdego z nas/was jest dokładnie policzony, bo:

„Poeta rodzi się w każdym/ dobrym wierszu/ na nowo/ i każdym dobrym wierszem poeta/ się żegna.”

Nawet jeśli nie zaliczacie się do żadnej z grup czytelniczych, które narzuciła wszystkim AI (a może zwłaszcza wtedy) namawiam do otwarcia (bez pukania) drzwi, prowadzących do poezji Tadeusza Dąbrowskiego, bo tam rozciąga się „cała jaskrawość” (używając sformułowania innego poety, chyba już dziś nieco – niestety – zapomnianego) i „wszystko się może zdarzyć” (a to już cytaty z muzycznej strefy popkultury, której zbiorowa pamięć trwa – niestety – dłużej, niż najpiękniejsze poetyckie strofy). Ale nie zapominajcie przy tym, że każdy „wiersz jest jak ta układanka/- – przesuwanka. Poezja/ to pusty element.” Pusty, ale paradoksalnie pełen treści, a prawdziwy poeta jest zawsze doskonałym magikiem, który potrafi wyczarować bukiet słów z pustego cylindra.

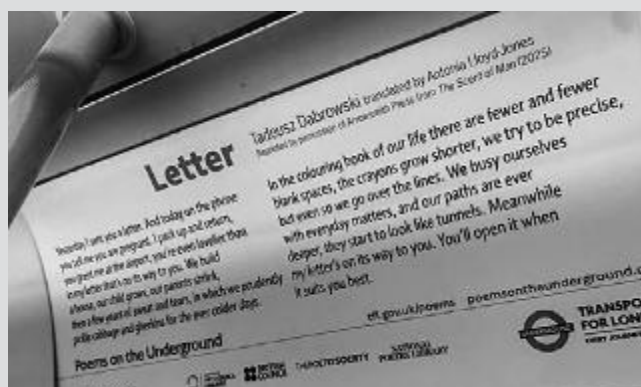
Tadeusz Dąbrowski, od niedawna redaktor naczelny jednego z najlepszych pism poetyckich w naszym kraju – „Toposu”, wydawanego od początku swojej historii

w Trójmieście (od 1993 roku – najpierw w Sopocie, później w Gdyni, a teraz w Gdańsku), laureat niezliczonych, prestiżowych nagród literackich, gdańszczanin, tłumaczony i publikowany na całym świecie, ma prawo czuć się twórcą spełnionym. Mimo to, odnoszę czasami wrażenie, że on sam nie jest w pełni wykorzystywany w rodzinnym mieście – na miarę swojego talentu, możliwości oraz międzynarodowej renomy i kontaktów. Dopracował się też już – całkowicie zasłużenie – statusu instytucji literackiej (i krytycznej), więc chyba najwyższy czas odpowiednio zagospodarować ten lokalny potencjał i stworzyć konkurs, festiwal, przegląd lub inną formę spotkań z literaturą, w której gospodarzami będą miejscowi twórcy.

Puk, Tadeusz Dąbrowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2026

W Trójmieście wychodzą w tej chwili regularnie 3 periodyki literackie – wspomniany „Topos”, Pomorski Magazyn Artystyczny „Słowo” (następca „Autografu”) oraz „Migotania” Gazetka Literacka (prowadzone od 25 lat przez poetę Zbigniewa Joachimiaka). Wykorzystajmy zatem bogactwo prezentowanych na tych łamach pomorskich autorów oraz połączmy siły doświadczonych redakcji tych trzech pism, aby stworzyć zupełnie nową formułę lokalnego wydarzenia, które mogłoby się przecież na stałe wpisać w metropolitalny artystyczny kalendarz, łącząc jednocześnie swoimi działaniami całe Trójmiasto.

Wojciech Futek



p.s. Z prawdziwą przyjemnością przekazujemy Czytelnikom wiadomość, że miliony pasażerów londyńskiego metra mogą teraz (czerwiec 2026) zapoznawać się z wierszem Tadeusza Dąbrowskiego *List* (w przekładzie Anronii Lloyd-Jones) w ramach prestiżowej inicjatywy artystycznej Summer Poems on the Underground. To wyjątkowe wyróżnienie gdańskiego twórcy i jednego z najchętniej tłumaczonych współczesnych poetów polskich, którego twórczość od lat zdobywa uznanie daleko poza granicami kraju. (red.)





U brzegów polskiego jazzu

Wojciech Fułek

W tym roku mija 70 lat od organizacji historycznego wydarzenia, które wyprowadziło polski jazz z podziemia, trwale uwalniając jego gigantyczny potencjał muzyczny, artystyczny i pokoleniowy. Po wprowadzeniu do powojennej kultury pojęcia socrealizmu (w Polsce w roku 1948), muzyka jazzowa była w pewien oficjalny, narzucony odgórnie sposób, uważana za symbol „amerykańskiego imperializmu” i „zdegenerowanej, wynaturzonej kultury burżuazyjnej”.

I Ogólnopolski Festiwal Muzyki Jazzowej Sopot 1956 – bo o nim tu oczywiście mowa – był oczywiście wydarzeniem przełomowym, ale polscy muzycy i fani jazzu przecież już nieco wcześniej cierpliwie kruszyli mur ideologicznej niechęci i niezrozumienia. A jazzowym guru młodego pokolenia staje się pisarz Leopold Tyrmand, organizując między innymi słynne muzyczne „Seanse z powidłami” (aby zbytnio nie drażnić anglojęzycznym sformułowaniem *jam session*), którego debiutancka powieść *Zły* (wydana w roku 1954) odniosła gigantyczny sukces czytelniczy, a pisarz stał się dzięki temu osobą niezwykle popularną. W maju 1956 roku Tyrmand – na zaproszenie swojego przedwojennego przyjaciela z Wilna, Franciszka Walickiego, w tamtym czasie opiniotwórczego dziennikarza „Głosu Wybrzeża”, spotkał się z tłumem czytelników w Klubie Dziennikarzy w Gdańsku pod wymownym hasłem „Nie ma tego ZŁEGO, co by na dobre nie wyszło”. Ale głównym celem przyjazdu pisarza było jednak spotkanie organizatorów zbliżającego się sopockiego festiwalu. „Założenia były proste – wspominał po latach Walicki – festiwal ma być przeglądem najciekawszych polskich zespołów jazzowych, połączonej ze zlotem miłośników i sympatyków jazzu”. To Tyrmand zaproponował też skład Komitetu Honorowego, w którym – obok pisarza i Walickiego – znaleźli się Stefan Kisielewski, Jan Kott, Jerzy Broszkiewicz, Zygmunt Mycielski, Marian Eile i Jerzy Skarżyński (autor rozpoznawalnego znaku graficznego imprezy, świetnego plakatu i katalogu). Na czele Komitetu Organizacyjnego staje doświadczony już Jerzy Kosiński, dyrektor Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych w Gdańsku.

Festiwal rozpoczął się 6 sierpnia 1956 roku barwnym, żywiołowym pochodem muzyków, uczestników i gości festiwalu, który przeszedł do legendy i zbulwersował wielu dziennikarzy, opisujących później festiwalowe wydarzenia. Koncerty odbywały się przez cały tydzień w – tłumnie obleganych przez młodych fanów jazzu, którzy zjechali się z całego kraju – pawilonach wystawienniczych Centralnego Biura Wystaw Artystycznych, zlokalizowanych tuż przy sopockim molo.



Unikalne zdjęcie ze sceny Opery Leśnej, zrobione 11 sierpnia 1956 roku podczas finałowego koncertu „All stars” I Ogólnopolskiego Festiwalu Muzyki Jazzowej Sopot 1956. Autorem zdjęcia był Dave Burman – lider jedyne go zachodniego gościa festiwalu, angielskiego zespołu „The Dave Burman Jazz Group”, którego członkom brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych kazało przed wyjazdem do Polski podpisać deklarację, że jadą tam prywatnie – na własną odpowiedzialność. Przypomnijmy – to rok 1956. Opera Leśna – już pod polską nazwą, ale de facto jeszcze w przedwojennym kształcie. W roku 1959 jej 50-lecie zostanie całkowicie przemilczane, a Opera – zamknięta na czas remontu, żeby nie drażnić niepotrzebnie nowych gospodarzy. Ale to właśnie – moim zdaniem – sopocki festiwal jazzowy uratował Operę Leśną, ukazując jej koncertowy potencjał i możliwości oraz natchnął Władysława Szpilmana do stworzenia na tej scenie sopockiego festiwalu piosenki.

W swoich – spisanych po latach – wspomnieniach, główny pomysłodawca i animator festiwalu, Franciszek Walicki potwierdza ogromny wkład pracy swojego wileńskiego przyjaciela (który skądinąd utrwalił postać Franka na kartach książki *Dziennik 1954*) w ostateczny kształt artystyczny sopockiej imprezy. Ale nawet on – zazwyczaj niezwykle dokładny i skrupulatny – nigdzie nie odnotował, że to właśnie Tyrmand wygłosił na otwarciu festiwalu – tuż przed inauguracyjnym koncertem autorski tekst, specjalnie napisany na tę okazję. Tekst pozostawał przez lata zapomniany (nawet przez tak ważnych uczestników tego historycznego wydarzenia, jak Jerzy „Duduś” Matuszkiewicz – lider najbardziej wtedy popularnego polskiego zespołu jazzowego „Hot Club Melomania”), dopóki – po pół wieku – nie odkrył go w archiwach Polskich Nagrań zasłużony dla polskiego jazzu Tomasz Tłuczkiewicz, przy przygotowaniu jubileuszowej, wspomnieniowej 3-płytywnej edycji pamiątkowego wyboru „Jazz’56” z oryginalnymi festiwalowymi nagraniami. Bo warto przypomnieć, że wszystkie koncerty sopockie

wówczas były nagrywane (łącznie z zapowiedziami, które jednak najczęściej wycinano przy dalszym montażu), a duża część tych nagrań trafiła wtedy na analogowe płyty, które dziś są białym krukiem. Z okazji okrągłego jubileuszu 50-lecia festiwalu, w roku 2006, postanowiono wydać specjalną reedycję tych nagrań na płytach CD, a ja miałem niewątpliwą przyjemność współpracować wtedy przy tej publikacji z Iwoną Thierry z Polskich Nagrań.

Dziś ten monolog Tyrmanda, odkryty przy tej okazji na nowo, jest przede wszystkim dokumentem epoki i symbolem nieskrywanej miłości początkującego wtedy pisarza do muzyki jazzowej. Dokumentem momentami nieco archaicznym, chwilami nawet zabawnym, ale nie tylko dlatego wartym przypomnienia. Nie zapominajmy, że minęło już od tamtej chwili 7 kolejnych dekad, a polski jazz wciąż żyje i ma się dobrze!

Wojciech Fułek

PS. Rok po festiwalu Tyrmand wydał w oficjalnym obiegu (innego zresztą wtedy w Polsce nie było) książkę *U brzegów jazzu*, która stała się muzyczną biblią pokolenia lat 50. i 60.



Jazz jest wielką epoką...

Leopold Tyrmand

Mam zaszczyt i przyjemność otworzyć I Ogólnopolski Festiwal Muzyki Jazzowej w Sopocie! Jeśli chodzi o mnie, to nazwałem tę imprezę „Pierwszym Festiwalem Zespołów Sweterkowych” i nazwy tej używałem w rozmowach potocznych w okresie przygotowań. Myślę, że te „zespoły sweterkowe” najlepiej oddają treść pewnego zjawiska niezwykle ważkiego dla muzycznej kultury i muzycznego obyczaju naszego stulecia.

Wielkie epoki w muzyce czerpały mnóstwo soków żywotnych z powszechnego, jak byśmy dziś powiedzieli – oddolnego muzykowania. Znaczy to, że ogromne masy miłośników świata dźwięków, na poły amatorów, a na poły profesjonalistów, nie wyobrażały sobie życia bez czynnego uprawiania muzyki.

W chwili, w której mówię te słowa, jazz jest już wielką epoką w historii muzyki i chyba nikogo na tej Sali nie potrzebuję przekonywać, że należy do rzędu zjawisk artystycznych, że jest sztuką przez duże S, albowiem wyraża radości i smutki naszego pokolenia i naszego wieku. Wyraża je w sposób frenetyczny, może nieco brutalny, lecz niesłychanie dynamiczny, może nieco zbyt hłaśliwie, lecz cóż na to poradzimy, że cały ten wiek dwudziesty, wiek gigantofonów i atomowych eksplozji jest hłaśliwy.

Historia jazzu zaczyna się więc od takiego muzykowania murzyńskich fryzjerów i czyścibutów w Nowym Orleanie, rozwija się wspaniale w prywatnym muzykowaniu chicagowskich taksówkarzy i dancingowych grajków na nocnych jam sessions i do dziś dnia konsekwentnie opiera się na muzykowaniu amerykańskich i europejskich studentów, czeladników ślusarskich i praktykantów sklepowych, którzy w chwilach wolnych od pracy grają dla siebie lub na potańcówkach w swojej dzielnicy czy na swojej uczelni – w San Francisco, Sztokholmie, w Palestynie czy w Łodzi.

Pamiętajcie! Nie szukajcie jazzu na wielkich pompacyjnych estradach słynnych music-hallów, ani w tzw. renomowanych lokalach, ani wśród wyfraczonych orkiestr pyszniących się swą liczebnością, techniką muzyczną i wypucowanymi aż do błysku instrumentami. Nie znajdziecie jazzu w towarzystwie kolorowych fraków, ani nafosforyzowanych cylindrów, nie dadzą wam go pracownicy słynni dyrygenci, ani dokładnie wyszkolone orkiestry pomagające sobie iluzjonistami, kłownami i akrobatami.

Natomiast w latach, w których jazz nosił na sobie odium kulturalnego miazmatu, gdy został zepchnięty do katakumb, można było kiedyś usłyszeć w Krakowie, w samotnie stojącym nieopodal cmentarza domu, kilku polskich studentów z różnych miast muzykujących dla siebie i grupy oddanych miłośników, grających szczerze, gorąco i naprawdę jazzo-



Leopold Tyrmand i Franciszek Walicki podczas spotkania w gdańskim Klubie Dziennikarzy, 24 maja 1956) | fot. archiwum

wo. Grali na starych zdezelowanych instrumentach, ubrani w zmięte koszule i naddarte swetry, ale grali z całego serca, zmuszali do zapamiętałych oklasków i entuzjastycznego krzyku aplauzu.

Gdy nastąpiło odrodzenie społeczno-rozrządku, ci sami chłopcy w kolorowych koszulach i swetrach zaimprovizowali pierwszą po ośmiu latach publiczną jam session w Warszawie, która wytworzyła nieznaną w polskich salach widowiskową temperaturę emocjonalną i wywołała nieznaną na polskich estradach spontaniczną owację.

Cóż z tego, że ponurzy pseuodsatyrycy zaatakowali potem z pasją muzykę kolorowych koszul i swetrów – była to chyba, odpukać w niemalowane drzewo, ostatnia wielka ofensywa ponuractwa. Młode sweterkowe zespoły zaczęły powstawać w różnych miastach, muzykować, uprawiać jazz i występować publicznie.

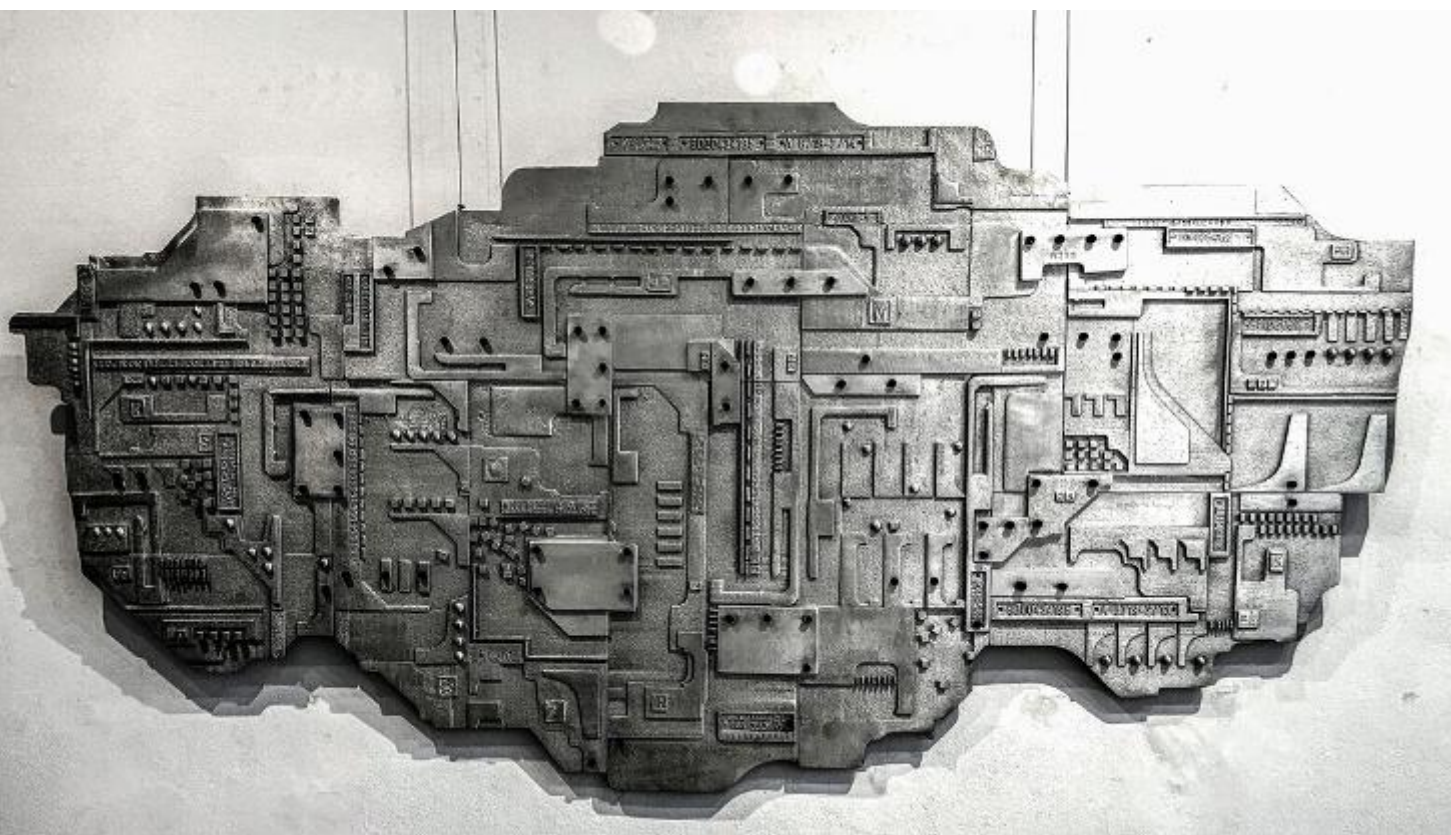
Możemy to sobie dziś jasno powiedzieć: wielka impreza, którą teraz rozpoczynamy, mimo rozmachu, bogatej oprawy, inscenizacji, rozgłosu, mimo oficjalnej aprobaty, poparcia prasy i radia, a nawet mimo faktu, że niektórzy wykonawcy zmienili kolorowe pulowery na dystygowane marynarki, ta impreza będzie chyba kontynuacją sweterkowych tradycji. Nawiąże chyba do nastroju z krakowskich i warszawskich jam sessions, odnajdzie tamtą atmosferę, ówczesne odczucia i doznania. Ten najwłaściwszy klimat odnaleźć muszą wszyscy – ci z estrady i ci z widowni. Znamy bowiem wszyscy ową magiczną właściwość jazzu polegającą na tym, że im publiczność daje więcej poparcia grającym, czyli im bardziej się publiczności muzyka podoba, tym lepiej goręcej grają muzycy, tym więcej z siebie dają. Mam nadzieję, że od dzisiaj zasada ta na tej sali zacznie wspaniale funkcjonować. Od wielu lat towarzyszę jazzowi w Polsce jako miłośnik i wielbiciel, a czasami jako fanatyk. Z rolą tą wiązały się liczne satysfakcje, ale także liczne rozczarowania. Tuż przed wyjazdem z Warszawy spotkała mnie jednak satysfakcja rzadkiego i zastanawiającego gatunku. Zwróciło się do mnie Polskie Radio z propozycją napisania czegoś dla nich o Sopockim Festiwalu. W tym fakcie nie ma oczywiście nic nadzwyczajnego, wielokrotnie mówiłem w radiu o jazzie, wielokrotnie zwracały się do mnie różne wydziały tej instytucji, wielokrotnie robiłem różne rzeczy dla działu muzycznego, dla Muzyki i Aktualności, dla Warszawskiej Fali. I tym razem odezwał się dzwonek telefonu, jakiś miły męski

głos wyłuszczył swoją propozycję, po czym spytałem: – Z jakim wydziałem Radia rozmawiam? Z muzycznym, czy z literackim, z Redakcją Zagraniczną, czy może z Taśmoteką? Po czym otrzymałem odpowiedź i długo nie mogłem przyjść do siebie ze zdumienia: – Tu mówi Redakcja Audycji dla Dzieci – oświadczył nie bez dumy głos w słuchawce. – Jak to? – wykrztusiłem. – Przecież w kierownictwie Polskiego Radia panuje przekonanie, że jazz to muzyka nocnej knajpy, przesiąknięta alkoholem i zupełnie niepedagogiczna, że stanowi synonim niemoralności i rozprężenia, że ponosi jakąś odpowiedzialność za pewne uciążliwe obyczaje naszej młodzieży. I to chcecie teraz dawać dzieciom? – To prawda – odparł trochę niepewnie mój rozmówca – ale jednocześnie otrzymujemy ogromne ilości listów od dziesięcioletnich radiostuchaczy, którzy domagają się jazzu. Jazzu do słuchania... W tym coś jest!

Tak, rację mają Audycje dla Dzieci – w tym coś jest! Nietrudno zresztą sprecyzować co. Jest instynktowne zrozumienie i ogromna sympatia dla muzyki naszej epoki. Sympatia bardziej klarowna i gorąca u dzieci, niż u dorosłych. Kto wie, ile jazz zawdzięcza murzyńskiej piosence dziecięcej, kto choć raz słyszał Sidneya Becheta koncertującego dla rozentuzjasmowanego audytorium małych Murzyniełek, ten zrozumie sedno problemu, wobec którego stanęło teraz Polskie Radio zmuszone raz jeszcze do zainteresowania się jazzem, tym razem przez swych najmłodszych słuchaczy. Z myślą tedy o dzieciach, które domagają się jazzu i w pełnym przekonaniu, że czynię dobrze, otwieram Pierwszy Ogólnopolski Festiwal Muzyki Jazzowej w Sopocie!

Leopold Tyrmand

sala CBWA przy sopockim mołu, 7 sierpnia 1956 roku



Nancy Wilson – coda

Paweł Brodowski

Wielka amerykańska wokalistka zmarła po długiej chorobie 13 grudnia 2018 r. w Pioneer-town, w Kalifornii. Miała 81 lat. Była wspaniałą interpretatorką Wielkiego Śpiewnika Amerykańskich Standardów, nagrała ponad 70 płyt, zdobyła trzy nagrody Grammy.



Nancy Wilson. Sopot 1971 | fot. Marek Karewicz | archiwum Jazz Forum

Nie chciała, by określano ją jako wokalistkę jazzową, miała w repertuarze utwory z różnych gatunków muzyki, uważała siebie za „stylistkę piosenki”. „To jest moja esencja, ja wplątam słowa do muzyki, tworzę dramaturgię”. Jej dwa najsilniejsze wpływy to Jimmy Scott i Dinah Washington. Nancy Wilson przyszła na świat 20 lutego 1937 roku w Chillicothe w stanie Ohio. Pierwsze kroki jako śpiewaczka

stawiała w chórach kościelnych. Mając 15 lat wygrała konkurs lokalny i zaczęła występować w klubach Columbus, Ohio. W latach 1956 – 58 koncertowała z big bandem Rusty’ego Bryanta na trasach w USA i Kanadzie. W 1959 podpisała kontrakt z wytwórnią Capitol Records, dla której nagrała całą serię płyt. Największy rozgłos przyniósł jej wydany w 1962 roku album „Nancy Wilson/Cannonball



Nancy Wilson, w Sopocie, 1971 | fot. Marek Karewicz, archiwum Jazz Forum

Adderley”, na którym wspierał ją Kwintet Adderleya (na fortepianie Joe Zawinull!). Za płytę „How Glad I Am” dostała swoją pierwszą nagrodę Grammy (w kategorii Best Rhythm and Blues Performance). Dla Capitolu nagrywała jeszcze w latach 70., ale w następnej dekadzie związała się z Columbia. Drugą Grammy zdobyła w 2004 roku za album „R.S.V.P.”, a trzecią dwa lata później za „Turned To Blue”. Nancy Wilson gościła w Polsce tylko jeden raz, chyba warto ten epizod przypomnieć. Będąc wówczas w szczytowym okresie swojej kariery wokalistka wystąpiła na Festiwalu Piosenki w Sopocie w 1971 roku z towarzyszeniem Orkiestry Polskiego Radia i jazzowej sekcji w składzie: Włodzimierz Nahorny – p., Jacek Bednarek – b. i Władysław Jagiełło – dr. Koncert ten zapisał się jako jeden z najbardziej niefortunnych momentów w historii polskiego jazzu.

„Początkowo nic nie zapowiadało katastrofy, do której doszło podczas koncertu” – wspomina teraz Włodek Nahorny.

„Nancy Wilson przyjechała do Sopotu razem ze swoim pianistą i kierownikiem muzycznym. Mieliśmy próbę w Grand Hotelu, podczas której panowała świetna atmosfera i ta próba przerodziła się w mały jam – on grał na fortepianie, a ja na saksofonie. Na koncercie zaś ja grałem na fortepianie, dyrygował całością Kurylewicz. Ale nagle wszystko się rozsypało. Zawinił chyba Włodek Jagiełło, który nie czuł swingu i wypadł z rytmu. Nancy się pogubiła i popłakała. Na estradę wskoczył jej szef muzyczny, zatrzymał orkiestrę i zmienił mnie przy fortepianie. Dalej już jakoś poszło. Ale publiczność zapamiętała naszą bezradność. Nie wiedziałem, że Nancy się popłakała. Gdybym wiedział, to bym płakał razem z nią, bo to była moja ukochana wokalistka. Miałem jej wszystkie płyty.”

Paweł Brodowski

Leonardo?

Kilka słów o Józefie Chełmowskim

Filip Greś

Leonardo? Był ucieleśnieniem idei i przykładem człowieka renesansu – wszechstronnie uzdolnionego, działającego na wielu frontach i nieustannie w pogoni za wiedzą. Czy Józef Chełmowski posiadał takie cechy? Cóż, był człowiekiem renesansu naszych czasów i kraju bogatego w tożsamość ludową, zharmonizowanego z naturą.



Józef Chełmowski | fot. Leszek J. Pękalski

Urodzony 26 lutego 1934 roku w miejscowości Brusy-Jaglie na Pomorzu, Józef Chełmowski był najmłodszym dzieckiem spośród piątki rodzeństwa, i to właśnie on pozostał w domu rodzinnym, gdy dorósł, w zgodzie z rodzinnymi przekazami, wedle których rodzina Chełmowskich mieszkała w tych stronach „od zawsze”. Mówił po kaszubsku na co dzień,

wiarę przodków uważał za istotną, podobnie jak odziedziczone rodzinne zwyczaje i przywiązanie do małej ojczyzny. Pewne komplikacje edukacyjne – przymusowa szkoła niemiecka – upodabniają Chełmowskiego do Leonarda. Wszak Chełmowski zakończył naukę na etapie podstawowym, a da Vinci, pochodzący z nieprawego łóża, nie mógł uczęszczać



Z prac Józefa Chełmowskiego | fot. Leszek J. Pękalski

do szkół łacińskich. Te perturbacje pozwoliły obu postaciom zdobyć kluczową a specyficzną umiejętność – sztukę samo nauczania. Dzięki niej obaj mogli ukształtować się w sposób swobodny i wolny od schematów, tworząc i zauważając wszystko, co umknęłoby ludziom pozbawionym tej zalety. Pozwalała ona kierować się głównie własną ciekawością i niczym nieskrępowaną chęcią zagłębiania dowolnych dziedzin, niezależnie od tego, jak dalece wydawały się niepodobne bądź odrębne.

Wiemy co takiej swobodzie zawdzięczał Leonardo z miasteczka Vinci. Natomiast u Józefa Chełmowskiego z miejscowości Brusy-Jagle na Kaszubach, żyjącego w dość trudnych czasach, ta swoboda pozwalała czerpać pomysły z inspiracji najmniej oczywistych w świecie sztuki, i pozwalają zaraz dostrzec tę specyficzną tożsamość jego dzieł, ich rys praktyczny, zbiór cech charakteryzujący Kaszuby i Polskę.

Miejmy na uwadze, że Chełmowski był skazany na praktyczne podejście do życia. W trakcie obowiązkowej służby wojskowej piastował stanowisko radiomechanika w lotnictwie. Wkrótce po szkole zatrudnił się na kolei, i ta kolejowa praca kilkakrotnie wracała do niego. Pracował też w przedsiębiorstwie drogowym, w przetwórci runa leśnego w Brusach, zatrudnił się nawet na krótko w kinie. A obok tych ścieżek była uprawa rodzinnej roli, co wymagało siły, odporności i praktycznego zacięcia.

To wszystko trzeba brać pod uwagę, kiedy mowa o twórczości Chełmowskiego. A za jedno z dzieł ważnych wypada

uznać skansen na terenie jego rodzinnego domu, przekształcony dziś w muzeum poświęcone pamięci zarówno Józefa, jak i Jadwigi, jego żony. Otoczona malowniczymi drzewami i ogrodem posesja z zagrodą i pasieką stanowi unikalny rodzaj sztuki – jest wspomnieniem ocalonym przed zębem czasu.

Ten skansen to żywy obraz: migawką z czasów, gdy Józef Chełmowski wciąż tu był, zajęty – między innymi – tworzeniem prawdziwego perpetuum mobile. Skansen Chełmowskich zachował autentyczne ślady obecności jego niegdysiejszych lokatorów, czym różni się od wielu muzealnych domostw zmarłych znakomitości. Wszystkie wynalazki i prace Chełmowskiego tkwią w tak zwyczajnych lokacjach, jakby umieścić je tam własnoręcznie właśnie on. Szczęśliwcy, którym udało się odnaleźć skansen naprawdę obcuja z duchem miejsca – wynalazki i dzieła Józefa Chełmowskiego rozmieszczono tak, by móc je podziwiać, by nie doznały szkody, ale bez zbędnej izolacji, ani też surowych środków ostrożności, jak w tradycyjnych muzeach. Na podwórzu można znaleźć zegar słoneczny, ba, projekt rakiety kosmicznej, czy całkowicie nienaruszoną maszynę do łąpania żywiołów, której główny element stanowi wielkie, niegdyś kolorowe koło przypominające to młyńskie; z pomocą koła machina miała wykorzystywać wiatr i deszcz do produkcji energii i wciąż jest dowodem oryginalnej inżynierskiej wyobraźni Chełmowskiego.

Jeszcze inną osobliwością jest piętrowy rower – pojazd dorównywał wysokością swojemu twórcy i, co ciekawe, wcale nie był dekoracją. Owym niezwykłym środkiem lokomocji Chełmowski dojeżdżał do pracy za czasów, kiedy na stacji PKP Brusy-Jaglie pełnił obowiązki zwrotniczego. Fakt, iż ten unikalny pojazd przetrwał do dziś mimo intensywnego użytkowania świadczy o bardzo dużych umiejętnościach inżynierskich Chełmowskiego zarówno na etapie projektowania, jak i rzemiosła.

Nie była obca Chełmowskiemu także muzyka – „kaszubski Leonardo” skonstruował kilka instrumentów, typowych dla regionu, które wzbogacił o własne, rzeźbiarsko artystyczne akcenty. Przykładem niech będą diabelskie skrzypce z drewnianą głową diabła na szczycie, czy przepięknie pomalowane bazuny. Naturalnie Józef Chełmowski nie byłby do końca sobą, gdyby nie zaprojektował też kilku własnych instrumentów, które mogły pierwotnie pojawić się tylko w jego wyobraźni: dzięki czemu przyszedł na świat takie wynalazki jak „brzozoliść”, intensywnie zielony instrument strunowy uformowany w kształt liścia i zwieńczony brodatą głową mężczyzny, czy „lajerkasta” – odmiana liry korbowej zwieńczona zawiniętą trąbką, wreszcie „oma” –

projekt w pełni autorski i wymykający się wszelkim klasyfikacjom – niemniej, przedmiot faktycznie mogący posłużyć za instrument, a na koniec anielskie skrzypce, wzbogacone o anielskie skrzydła i także oblicze.

Józef Chełmowski tworzył też dzieła znacznie bardziej przyziemne pod kątem wykonania, ale nie pod kątem przekazu. Technika, jaką je wykonywał zależała od sezonu. Na terenie skansenu znajdują się dwie pracownie. Na wiosnę i latem artysta tworzył w pracowni letniej, na podwórzu; tam powstawały przeważnie rzeźby w drewnie lipowym; z nadejściem mrozów przenosił się do pracowni zimowej obok kuchni, wtedy dominowały malarstwo, kontemplacja i filozofia.

Szczególnie ta ostatnia dziedzina jest znamienita dla twórczości „kaszubskiego Leonardo”. Wszak większość jego rękodzieł, czy to rzeźb, czy obrazów, była wieńczona sentencjami artysty. Stanowiły one komentarz do dzieła. Te krótkie teksty dopełniały warstwę wizualną obiektów, wzbogacały ją o głębię i przekaz niemożliwie do uchwycenia bez słowa pisanego. Powstawało nie tylko dzieło interdyscyplinarne. Dopełniało „ideę pomnika” jako czynnika kształtującego tożsamość; w tym konkretnym



Z prac Józefa Chełmowskiego | fot. Leszek J. Pękalski



Józef Chełmowski | fot. Leszek J. Pękański

wypadku wchodził w grę światopogląd samego artysty i jego wewnętrzny wszechświat. Trudno by było dotrzeć do tego obszaru za pomocą jednej tylko formy. Sentencje Chełmowski często wkomponowywał w sam przedmiot – dla przykładu, rzeźba *Boży komputer* zawierała na swoim „ekranie” dwa ciągi cyfr określone jako „czyn godny”, oraz „czyn niegodny”; przekaz nie tylko skłaniał do myślenia, ale i pozostawiał szerokie pole interpretacji.

Jednak przekaz niektórych dzieł był bardziej bezpośredni. Obraz *Brak drogowskazu do szczęścia*, wykonany techniką oleju na płótnie, prezentuje ludzi wspinających się po wzgórzu do nieba, anioły oraz drogowskaz, który wskazuje zarazem na niebo i piekło; z pozoru pozostawia to szerokie pole do interpretacji, ale jest jeszcze umieszczona na wzgórzu sentencja „Brak drogowskazu do szczęścia są tylko dwie drogi życia do nieba i piekła”. Co najlepsze, przekaz ten, choć konkretny, nie wyklucza interpretacji, a tylko zawęża jej pole. Tu można doszukiwać się związku z pracowitym życiem Chełmowskiego, w którym zabrakło miejsca dla drogi na skróty lub na wygodę, a oczywista staje się konieczność wyboru między dobrem i złem, z czym musi mieć do czynienia każdy człowiek.

Religia i historia są częstym motywem twórczości Chełmowskiego, zwłaszcza w przypadku drewnianych rzeźb; przy czym historia współczesna splata się z tą sprzed stuleci.

Na posesji Chełmowskich trzeba zwrócić uwagę na rozmieszczane na podwórzu rzeźby, zwłaszcza na tę przy

wjeździe do skansenu. To kapliczka z drewna, wysoka na cztery i pół metra, przedstawia trzeci upadek Chrystusa na drodze krzyżowej. W kapliczce artysta posadził też inne rzeźby, które nadają scenie przestrzenność. Warto wspomnieć, że nie jest to wyłącznie artefakt, ale też przedmiot kultu; mieszkańcy wsi Brusy-Jaglie po dziś dzień odwiedzają to miejsce, by po prostu czcić Matkę Boską.

Religia, chociaż popularna w dziełach artysty, czasem ustępowała miejsca historii. Pod drewnianym zegarem słonecznym nad wejściem do izdebki znalazły się mniejsze rzeźby z drewna lipowego: Archimedes, Pitagoras i Kopernik, w jeszcze innej części domostwa – Otto Lilienthal, płaskorzeźba. Nie zabrakło odwołań do mitologii greckiej, wszak na jednej ze ścian znajduje się też płaskorzeźba z Dedalem i Ikarem. Uwagę i ciekawość Chełmowskiego budziły też i wydarzenia współczesne, stąd też rzeźba płonących wież World Trade Center, z sentencją „Wieża Babel czasu millennium”. Co jednak ciekawe, obie wieże są zagięte, a swoją budowę i kształtem bardziej przypominają Empire State Building, niż owe spalone drapacze chmur; znów metafora podatna na interpretację.

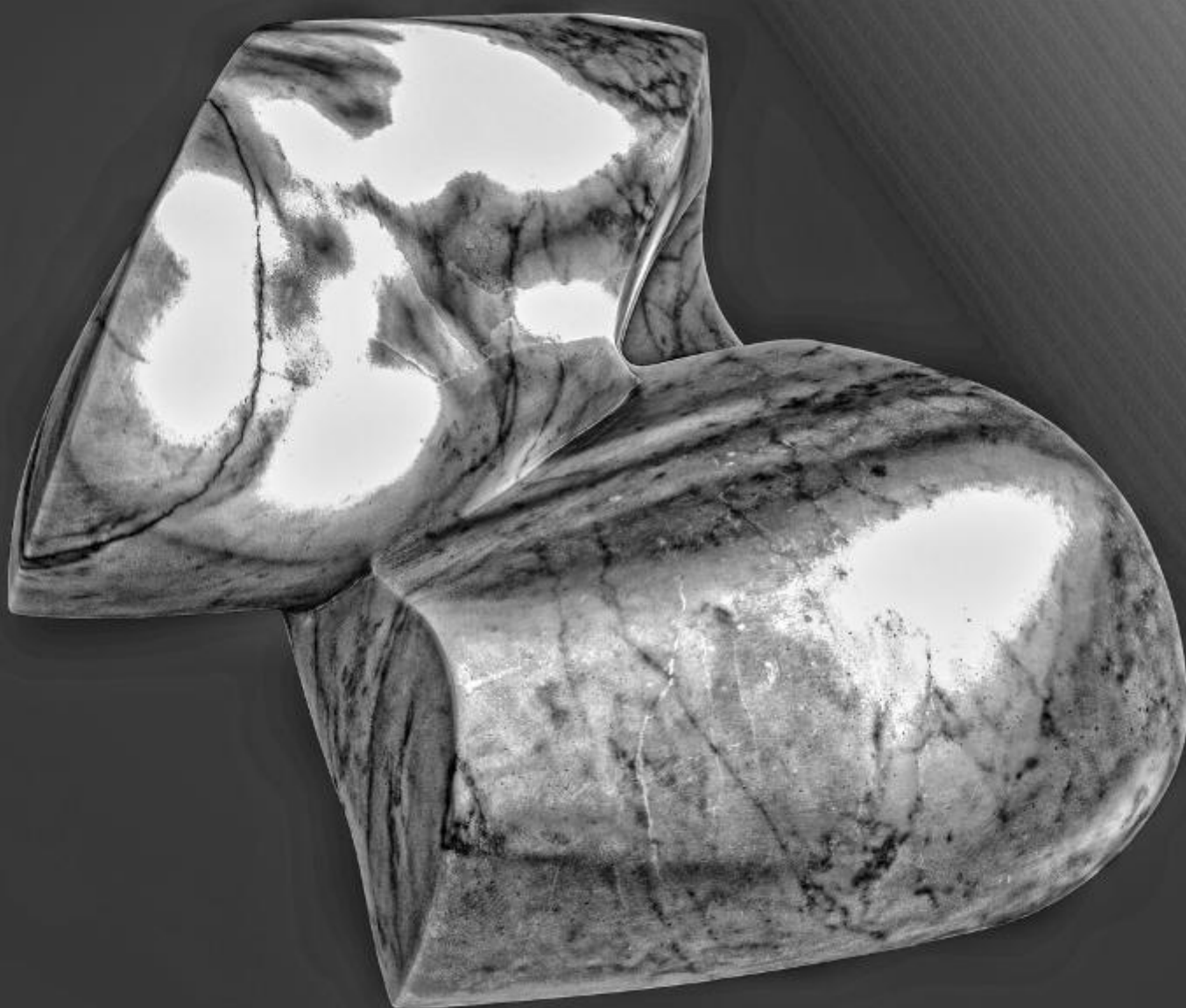
Do ważnych wydarzeń na świecie odniósł się Józef Chełmowski także poprzez „kubek” z którego wnętrza wynurza się oblicze płaczącej matki z dzieckiem, a front stanowi mapa Europy pokryta czerwonymi kęgami, których środek leży na Ukrainie. – Rzeźba, *Czarnobyl 29 IV 1986*, upamiętnia awarię reaktora w Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej, której skutkiem było skażenie kontynentu.

Z pomocą maleńkich rzeźb opatrzonych komentarzem Chełmowski prowadził kronikę czasów, w których żył, jednak jego sztukę cechował także wymiar praktyczny. Za „jego” czasów jednym z bardziej dochodowych zajęć było pszczelarstwo, więc pośród jego dzieł nie mogło zabraknąć wielkich, rzeźbionych domkowych uli, z malunkami o żywych, wibrujących barwach. Były to różnorakie sceny od religijnych po mitologię, czasem ule same w sobie stanowiły rzeźbę. Pasieka Chełmowskich jest pełna wolno stojących uli różnych kolorów, wzorów i kształtów, wielkości człowieka.

Na koniec warto nadmienić, że Józefowi Chełmowskiemu zawdzięczamy przywrócenie blasku z wolna zapominanej na Pomorzu sztuce: malarstwu na szkle. Podobnie jak rzeźby, tak i obrazy na szkle funkcjonowały jako swoista kronika ważnych wydarzeń publicznych z czasów życia artysty, odnosiły się też do wątków religijnych i historycznych.

Ta gałąź twórczości Chełmowskiego zasługuje na szczególną uwagę, za sprawą bardzo żywych, „gładkich” kolorów. To sprawa materiału. Szkło nie zapewnia przy malowaniu takiej stabilności jak płótno, natomiast pozwala zachować pełną ostrość kolorów, a przy odpowiedniej ekspozycji może dodatkowo wzbogacić przekaz przez grę ze światłem, może nadać i barwom i obrazowi nowego „wydźwięku”. Józef Chełmowski doczekał się przydomku „kaszubskiego Leonarda”. Pomysłowość, niekonwencjonalne rozwiązania, swobodny tok rozumowania i nieposkromiona wyobraźnia upodabniały go do Leonarda z Vinci. Natomiast praktyczny charakter i specyfika dobranych kolorów i kształtów połączonych jednocześnie z funkcjonalnością sprawiały, iż stał się człowiekiem renesansu – i erudytą – o niepowtarzalnym charakterze, który mógł zaistnieć wyłącznie w rodzinnych stronach rodziny Chełmowskich.

Filip Greś



Od redakcji

Po opublikowaniu artykułu Zofii Watrak o próbach podważenia działań prof. Grzegorza Klamana w gdańskiej ASP, redakcja otrzymała korespondencję od prof. Bogny Łakomskiej, osoby związanej ze sprawą. Zamieszczamy list w całości, wraz z odpowiedzią dr Watrak.



Małgorzata Wiśniewska *Air*, 560 mm x 345 mm x 234 mm, aluminium, marmur, 2016 | fot. z archiwum artystki

Szanowna Redakcjo,

chciałabym odnieść się do artykułu Pani Watrak pt. „Vaginalia”, którego treść wzbudziła we mnie liczne wątpliwości. Autorka zarzuca „ciałom dyscyplinującym nauczycieli akademickich” (w domyśle ASP w Gdańsku) brak kompetencji, stwierdzając jednocześnie, że „są społecznym zbiorem osób, które mogą mieć różne interesy”. Następnie wskazuje moją osobę jako rzekomo kierującą się takimi interesami. Stanowczo sprzeciwiam się tej retoryce, opartej – w mojej ocenie – na manipulacji i nieprawdziwych sugestiach. Ponadto Autorka określa mnie jako „feministkę w roli rzecznika dyscyplinarnego”. Przyznam, że nieco mnie to rozbawiło, skąd wiedza o moich przekonaniach? Mimo szacunku dla szeroko rozumianego feminizmu, nigdy nie deklarowałam się jako feministka. Czy zatem moje działania w roli rzeczniczki ds. dyscyplinarnych zostały przez Autorkę – a, jak przypuszczam, również przez głównego bohatera artykułu Pani Watrak – zinterpretowane jako przejaw postawy feministycznej? Jeśli tak, skłania to do refleksji nad tym, na jakiej podstawie przypisuje się określone poglądy osobom pełniącym funkcje instytucjonalne oraz czy wykonywanie obowiązków służbowych może być utożsamiane z deklaracją światopoglądową. Nieprawdziwa jest również informacja, jakoby jako rzeczniczka dyscyplinarna domagała się „wydalenia prof. Klamana”. Jeśli Autorka rzeczywiście zapoznała się z dokumentacją postępowania, oczekiwałabym rzetelności w przekazywaniu faktów. Taki wniosek nigdy nie został przeze mnie sformułowany. Sugerowanie przez prof. Klamana, że podejmowano działania zmierzające do jego wydalenia, odbieram jako próbę budowania wizerunku osoby pokrzywdzonej. Co więcej, na podstawie wypowiedzi prof. Klamana z przesłuchań, które miałam obowiązek przeprowadzić, można odnieść wrażenie, że realizowana przez niego koncepcja „sztuki radykalnej” bywa wykorzystywana jako uzasadnienie dla działań, które – w mojej ocenie – mają charakter nieetyczny. Pod pozorem pracy twórczej dochodzić może do nadużywania relacji zależności wobec podległych pracowników lub studentów. Dowody na poparcie powyższych stwierdzeń znajdują się w dokumentacji sprawy. Odnoszę jednak wrażenie, że Autorka artykułu zapoznała się z nią pobieżnie – o ile w ogóle – gdyż w przeciwnym razie nie formułowałaby tak daleko idących i nieuzasadnionych twierdzeń.

Bogna Łakomska

Gotową odpowiedź na pismo prof. Bogny Łakomskiej, kierowane do redakcji „Słowa” stanowi decyzja Komisji Dyscyplinarnej przy Ministrze Nauki i Szkolnictwa Wyższego z dnia 29 stycznia 2026 roku. Unieważnia ona w całości wcześniejsze orzeczenie (z dnia 30 października 2024 roku) Komisji Dyscyplinarnej do spraw Nauczycieli Akademickich przy Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego w Warszawie, która zgodnie z wnioskiem prof. Łakomskiej – ówczesnej Rzeczniczki Dyscyplinarnej ds. Nauczycieli Akademickich ASP w Gdańsku – wszczęła postępowanie przeciwko prof. Grzegorzowi Klamanowi. Pani Łakomska wyprowadziła poza akademię zarzuty dr Martyny Jastrzębskiej wobec prof. Grzegorza Klamana, byłego przełożonego prof. Jastrzębskiej; miał on jakoby dopuścić się wobec dr Jastrzębskiej „nadużyć słownych i emocjonalnych”.

Prof. Łakomska nie skorzystała wcześniej z innych dostępnych możliwości proceduralnych. Natomiast z własnej inicjatywy rozszerzyła zarzuty „o stosowanie nadużyć wobec studentów, polegających na podejmowaniu przez nich wbrew własnej woli działań skrajnych, naruszających ich intymność”. Formalnie nie wnioskowała o usunięcie z uczelni profesora, ale sugerowała taką możliwość, dowodząc, że jego „radykalne” metody szkodzą studentom. Na poparcie załączyła pismo prawnika dr Jastrzębskiej, w którym prawnik domaga się takiej decyzji. Postawiła się w roli rzecznika i prokuratora jednocześnie. Wnioskowała o karę pozbawienia prawa do pełnienia funkcji kierowniczych na uczelni na okres 5. lat. Klaman pełnił wówczas funkcję kierownika Katedry Intermediów Wydziału Rzeźby ASP w Gdańsku.

Komisja Dyscyplinarnej do spraw Nauczycieli Akademickich przy Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego w Warszawie uznała prof. Klamana za winnego zarzucanych czynów i pozbawiła go funkcji kierowniczych na okres 2. lat. Z kolei Komisja Dyscyplinarna przy Ministrze Nauki i Szkolnictwa Wyższego – czyli komisja odwoławcza – w całości uchyliła to postanowienie ze względu na „naruszenie fundamentalnej zasady rzetelnego procesu”. Sprawa została przekazana do ponownego rozpatrzenia.

Rzetelnością nie wykazała się pani Łakomska w uzasadnieniu swojego wniosku, rzetelnością nie wykazała się też Komisja przy Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, bezrefleksyjnie kierująca się wnioskiem prof. Łakomskiej. Wizerunkowo przegrywa także Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku, którą prof. Bogna Łakomska reprezentuje i w imieniu której występowała.

Istotne i szczególnie bulwersujące jest to, że prof. Grzegorz Klaman już od 5 lat faktycznie ponosi karę, chociaż formalnie nie stwierdzono jeszcze żadnej winy, nie zasądzono też kary, bo sprawa trwa, toczy się zaś od 14 czerwca 2021, od dnia zgłoszenia skargi do Rektora ASP przez prof. Martynę Jastrzębską.

Tyle w tej sprawie.

Zofia Watrak



Małgorzata Wiśniewska WE, granit, brąz, 300 mm x 200 mm x 175 mm, 2025
| fot. z archiwum artystki



Małgorzata Wiśniewska Red z cyklu Pillows, aluminium lakierowane proszkowo, 890 mm x 240 mm x 235 mm, 2013 | fot. z archiwum artystki

Literacka Podróż Hestii – nominacje

W szóstej edycji konkursu Literacka Podróż Hestii wyróżniono 5 najlepszych polskich książek dla dzieci i młodzieży. W tym wyborze uczestniczyło również – obok kapituły – jury młodzieżowe. I jak na prawdziwą podróż przystało, autorów i autorki nominowanych tytułów będzie można spotkać podczas literackich wydarzeń w różnych częściach Polski, między innymi na Plenerze Czytelniczym w Sopocie i na Festiwalu Miłosa w Krakowie. Finał konkursu odbędzie się we wrześniu, a laureat lub laureatka otrzyma nagrodę w wysokości 50 tysięcy złotych.

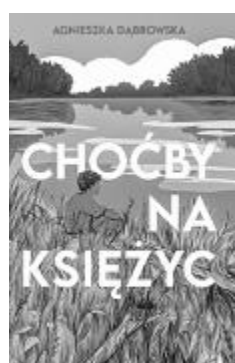
Nadesłane powieści, opowiadania i komiksy oceniła kapituła, w skład której wchodzi: Artur Borowiński – przewodniczący kapituły i prezes Grupy ERGO Hestia, Michał Rusinek – pisarz, tłumacz, wykładowca, prezes Fundacji Wisławy Szymborskiej, Katarzyna Kasia – filozofka, wykładowczyni akademicka, publicystka i dziennikarka, Karolina Lewestam – filozofka, laureatka Nagrody Literacka Podróż Hestii 2024 za powieść *Silla*, Aleksandra Pakieła – recenzentka literacka i bookstagramerka, Maciej Wojtyszko – reżyser filmowy, teatralny i telewizyjny, pisarz, autor książek dla dzieci, dramaturg, profesor Akademii Teatralnej w Warszawie oraz Natalia Wiercińska – członkini zarządu Fundacji Artystyczna Podróż Hestii. Sekretarzem Nagrody jest Janusz Heller.

Szóstej edycji konkursu Literacka Podróż Hestii towarzyszą patronaty honorowe instytucji, organizacji działających na rzecz czytelnictwa oraz zajmujących się wsparciem dzieci

i młodzieży: Biblioteki Narodowej, Narodowego Centrum Kultury, Rzecznika Praw Dziecka, UNICEF Polska. Konkurs odbywa się pod mecenatem ERGO Hestii, a jego organizacją zajmuje się Fundacja Artystyczna Podróż Hestii w partnerstwie z Fundacją Wisławy Szymborskiej. Całoroczny cykl konkursowy jest również okazją do spotkań autorskich i wydarzeń promujących najlepszą polską literaturę.

Do tegorocznej edycji Literackiej Podróży Hestii zgłoszono 104 tytuły. Nominowano do nagrody następujące książki:

- *Choćby na księżyc*, Agnieszka Dąbrowska, Agora dla Dzieci
- *Kto by nie chciał mieć psa?*, Marta Guśniowska, Wilga / GW Foksal
- *Dom na odludziu*, Anna Onichimowska, Wydawnictwo Literatura
- *Ziomek*, Joanna Olech, Wydawnictwo Literatura
- *Wylinka*, Wit Szostak, Powergraph



Choćby na księżyc, **Agnieszka Dąbrowska,** ilustracje: Marta Ruszkowska

Czasem jedna osoba, która w ciebie uwierzy, potrafi zdziałać cuda... Rówieśnicy z jego wsi nagrywają rapsy, objijają się i nie myślą za dużo o przyszłości. A Radek? Radek marzy tylko o jednym. By opuścić to miejsce. Chodzi głodny, nie ma butów na zimę, ale przede wszystkim brakuje mu miłości.

Karmi się więc jej okrucami od każdego, kto chce mu je dać. Życzliwość ludzi kończy się jednak, gdy pod adresem Radka padają oskarżenia o kradzież. Co tak naprawdę wydarzyło się na zapleczu miejscowego sklepu? Kto jest złodziejem? I co wspólnego z tą sprawą mają nowa dziewczyna z dużego miasta oraz romski chłopak? *Choćby na księżyc* to wciągająca, pełna emocji

opowieść o szukaniu siebie, przezwyciężaniu stereotypów i przyjaźni pełnej wyzwań.



Kto by nie chciał mieć psa? **Marta Guśniowska,** ilustracje: Daniel de Latour

Jak wiadomo – nie ma lepszych opowieści od tych o miłości i z wyższych sfer. Wierna tej zasadzie autorka nie zawahała się użyć wyrafinowanych środków, przewrotnych sformułowań i nieoczywistych myśli, aby jej bohater z wyższych sfer – Henryk

Ósmy Mydłkiewicz – dowiedział się o wielu sprawach, o których należy się dowiedzieć nawet jeśli jest się już pozornie szczęśliwym. Pytania o związki szczęścia, stanu posiadania, rasy i klasy wydają się pytaniami ze wszech miar aktualnymi. Pytanie „Kto by nie chciał mieć psa?”, to pytanie, które

otwiera tak szerokie pole do dyskusji, że książka Marty Guśniowskiej mogłaby zostać uznana za traktat moralny. Gdyby nie była tak zabawna.

tekst: Maciej Wojtyszko



Dom na odludziu Anna Onichimowska, ilustracje: Katarzyna Kołodziej

Nie każda tajemnica musi kryć się w opuszczonym zamku. Równie dobrze może to być zwykłe poddasze zwykłego domu. Do niepozornego budynku stojącego z dala od innych zabudowań wprowadzają się tymczasowo Marysia, Józio i Paweł.

Przeprowadzka jakich wiele, nic nie zapowiada większych perturbacji, ale już pierwsze noce przynoszą dziwne dźwięki, kroki na strychu i tajemnice, których dorośli nie słyszą albo słyszeć nie chcą. Są książki, które czyta się dla przygody, i takie, które wywołują prawdziwe emocje. *Dom na odludziu* łączy jedno i drugie. Autorka świetnie prowadzi akcję, napięcie rośnie powoli, ale skutecznie. Co ważne – powieściowe wątki nie epatują brutalnością i przesadą. To wręcz idealna lektura dla młodzieży, która lubi zagadki, mroczny klimat i historie pobudzające wyobraźnię. Młodym czytelnikom i czytelniczkom spodoba się przede wszystkim połączenie zagadki, lekkiej grozy i przygody. Bohaterowie nie są idealni, ale właśnie dlatego wydają się prawdziwi. W książce znajdziemy też ważniejsze przesłanie – odwaga nie oznacza braku strachu, lecz gotowość do zmierzenia się z nim. *Dom na odludziu* to historia, która wciąga, intryguje i zostaje w pamięci jeszcze długo po przeczytaniu ostatniej strony.



Ziomek, Joanna Olech, ilustracje: Anna Oparkowska

Wyobraź sobie, że jesteś dzieckiem, żyjesz w małym miasteczku i... czujesz się inny. Być może twoi rodzice nie mają tyle pieniędzy, ile rodzice kolegów z klasy. Być może masz talent do rysowania, ale nikt jeszcze nie poprowadził cię w odpowiednim kierunku, by móc go rozwijać. A może kochasz liczby, nie lubisz,

gdy ziemniaki na talerzu stykają się z surówką i nie do końca rozumiesz swoją nieneurotypowość? Joanna Olech w pięknym, świetnie skonstruowanym zbiorze opowiadań *Ziomek* pisze o tym, jak znaleźć przyjaźń pozostając sobą, akceptując swoją inność. To historie, które podtrzymują na duchu,

pokazują, że w naszym świecie jest miejsce na akceptację, tolerancję, otwarte serca. Moim ulubionym opowiadaniem jest pierwsze – *Leo*. Gdy nowy uczeń Leon przychodzi na mecz piłki nożnej w różowych trampkach z lumpeksu, a drużyna przeciwników – *Mścicieli* z Radzionkowa zaczynają z niego szydzić, drużyna Leona mobilizuje się i na następny mecz przychodzi... ubrana na różowo. Te historie zostaną na dłużej – zarówno w umysłach dzieci, jak i dorosłych. A tatusiowie może przestaną bać się różowego koloru!

tekst: Aleksandra Pakieła



Wylinka, Wit Szostak, ilustracje: Aleksandra Krzanowska

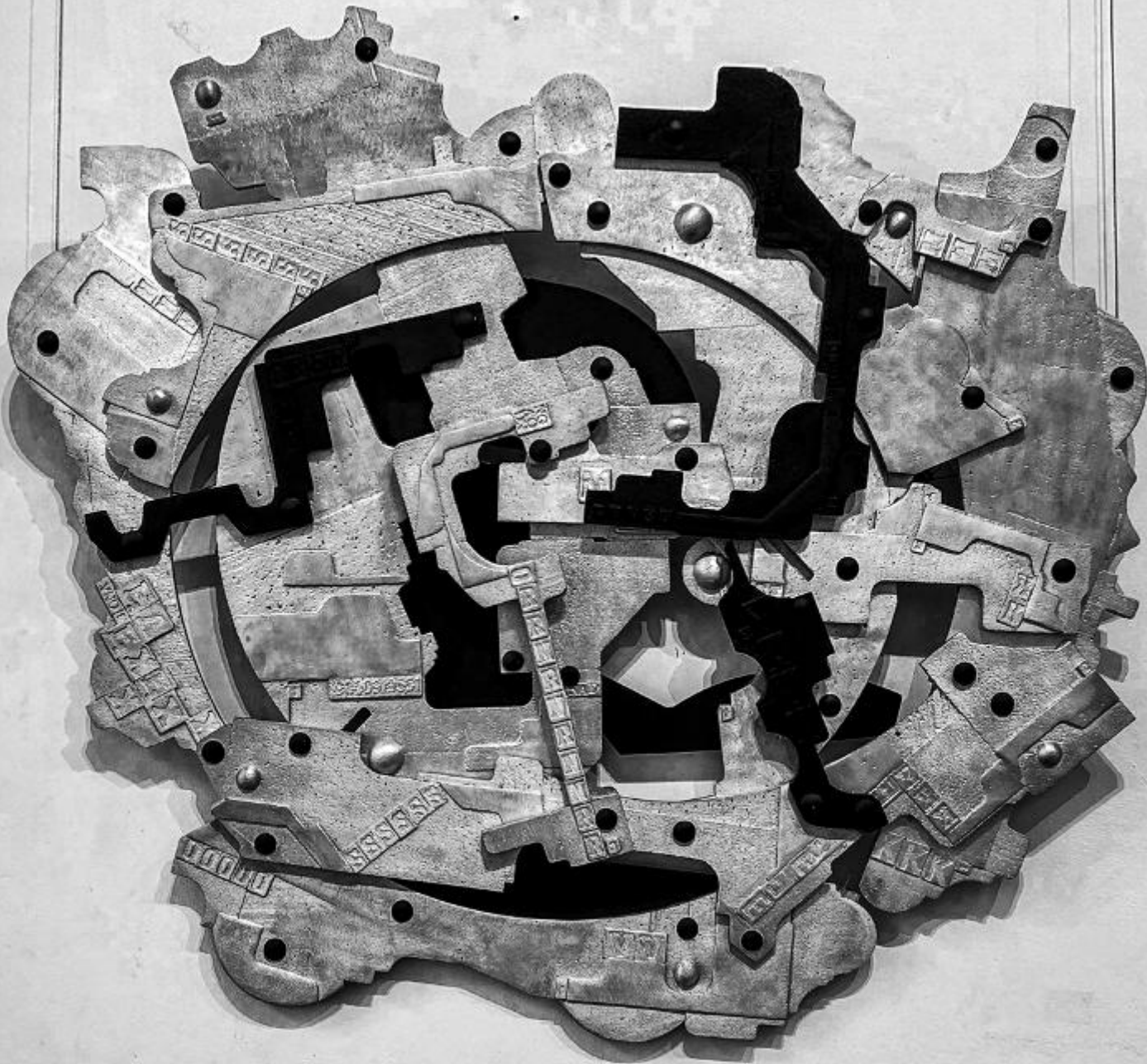
„Klarę budzi cisza”. Tak zaczyna się *Wylinka* Wita Szostaka. Dobrze, że od samego początku jest tak cicho, bo *Wylinka* to książka, w której trzeba mocno nastawiać uszu i, drżąc, nasłuchiwać: czy dom skrzypi? Co to za dźwięki? A to... czy to głos innego dziecka? Klara szybko

zorientuje się, że w cichym domu nie ma jej rodziców. Jest za to ktoś zupełnie inny – chłopiec w jej wieku. Czeką ich trudna przyjaźń – zawarta z konieczności, ale szybko wypełniająca się czymś prawdziwym. Oboje muszą się teraz zmierzyć z faktem, że zostali zupełnie sami. Dlaczego ich zostawiono? Kim są dla siebie? Dlaczego widzą wszystko, łącznie z domem w którym się znaleźli, zupełnie inaczej? Który świat jest prawdziwy, jego czy jej? A największą tajemnicą jest to, dlaczego żadne z nich właściwie nie tęskni za rodziną. *Wylinka* to przedziwny twór literacki. Jest to, na pierwszy rzut oka, powieść przygodowa dla dzieci. Ale jest to też subtelny thriller. A także pomysł na to, jak skonceptualizować dziecięcą traumę. Z początku niepokojąca, na koniec dająca ulgę opowieść, którą powinien przeczytać każdy, kto zastanawiał się, gdzie zostawił swój smutek”.

tekst – Karolina Lewestam

Szóstej edycji konkursu Literacka Podróż Hestii towarzyszą patronaty honorowe instytucji, organizacji działających na rzecz czytelnictwa oraz zajmujących się wsparciem dzieci i młodzieży: Biblioteki Narodowej, Narodowego Centrum Kultury, Rzecznika Praw Dziecka, UNICEF Polska. Konkurs odbywa się pod mecenatem ERGO Hestii, a jego organizacją zajmuje się Fundacja Artystyczna Podróż Hestii w partnershipu z Fundacją Wisławy Szymborskiej. Całoroczny cykl konkursowy jest również okazją do spotkań autorskich i wydarzeń promujących najlepszą polską literaturę.

Opr. J.H.



Małgorzata Wiśniewska, **L8** z cyklu *Layers*, stal, aluminium, 980 mm x 896 mm, 2019 | fot. z archiwum artystki



dostępność „Słowa”

Uprzejmie zawiadamiamy, że kwartalnik „Słowo” jest dostępny **w Gdańsku** w Instytucie Kultury Miejskiej, Targ Rakowy 11, w Filii Gdańskiej Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, Mariacka 42; **w Wejherowie** w Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, Zamkowa 2A; ponadto w bibliotekach Województwa Pomorskiego:

w Brusach w Centrum Kultury i Bibliotece, Dworcowa 18, **w Bytowie** w Bibliotece Miejskiej, Zamkowa 2, **w Cztuchowie** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Szczecińska 5, **w Dziemianach** w Gminnej Bibliotece Publicznej, 8 Marca 14, **w Gdyni** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Świętojańska 141-143, **w Głównym Ośrodku Kultury**, Kościuszki 15 A, **w Gniewie** w Centrum Kultury i Bibliotece Publicznej, Plac Grunwaldzki 16/17, **w Helu** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Komandorska 2, **w Kartuzach** w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej, Dworzec 4, **w Kwidzynie** w Bibliotece Miejsko-Powiatowej, Kościuszki 54, **w Lęborku** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Armii Krajowej 16, **w Miastku** w Bibliotece Publicznej, Dworcowa 29, **w Morzeszczynie** w Ośrodku Kultury, Kociewska 12, **w Przechlewie** Gminnej Bibliotece i Centrum Kultury, Młyńska 2, **w Pucku** w Bibliotece Pedagogicznej Wojewódzkiej, filii, Sambora 16, **w Redzie** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Derdowskiego 3, **w Skórczu** w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej, Jana III Sobieskiego 7, **w Sopocie** w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Józefa Wybickiego, Goyki 1, **w Subkowach** Gminnej Bibliotece Publicznej, Józefa Wybickiego 19, **w Sztumie** w Bibliotece Sztumskiego Centrum Kultury, ul. Feliksa Nowowiejskiego 14, **w Tuchomiu** w Bibliotece Publicznej, Jana III Sobieskiego 18, **w Wejherowie** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Kaszubska 14, **w Wejherowie** w Powiatowej Bibliotece Publicznej, Dworcowa 7.

The logo is enclosed in a square frame with thick black lines. The top and bottom lines are slightly slanted, while the left and right lines are vertical.

ERGO
HESTIA®

mecenas kultury

Słowa

Pomorski Magazyn Artystyczny



W poprzednich numerach

Zofia Watrak

Vaginalia

Maciej Śmietański

W sprawie Klamana

Zbigniew Canowiecki

O przyszłej Metropolitalnej Operze Bałtyckiej

Olga Kubińska

Młode głosy z Łotwy

Tomasz Miłkowski

Paweł Huelle w teatr zapatrzony

Katarzyna Furmaniak

Wiersze

Na stronie 51. „Słowa” P.T.
Czytelnicy znajdą spis miejsc,
w których dostępny jest nasz kwartalnik

2/2026 (18)
Kwartalnik

ISSN 2956-3739



9 772956 373200